Nr. 21 (63) **DZIŚ: 6 STRON** CENA (PRICE) 6d.

Wiadomości Polskie

THE POLISH NEWS
WEEKLY

POLITYCZNE I LITERACKIE
TYGODNIK

ROK II — NR. 21 (63) — LONDYN
NIEDZIELA 25 MAJA 1941

REDAKCJA
36, GREAT RUSSELL ST., LONDON, W.C.1
Telefony: MUSeum 2346 i 2563

ADMINISTRACJA
9, NEW OXFORD ST., LONDON, W.C.1
Telefon: HOLborn 8068

PRENUMERATA
kwartalnie
w Anglji .. .. .. 6s. 6d.
w innych krajach $1.50

Należność za prenumeratę prosimy przekazywać czekiem lub „Postal Order" na zlecenie:
M. I. KOLIN (Publishers) LTD.

W NUMERZE:

Olgierd Górka: Czem skorupka zamłodu nasiąknie... — **W. B. Yeats**, przełożył **Stanisław Baliński**: Fragment z „Wiatru wśród trzcin". — **Hermon Ould**, przełożył **Stanisław Baliński**: Smutek św. Jana. — **H. C. Stevens**, przełożył **Stanisław Baliński**: Luty 1941. — **Stefanja Szurlej-Kossowska**: Ucieczka. — **Zbigniew Grabowski**: Prasa oskarża dyplomację. — **Marcin Odrowąż**: Nastroje genewskie. — **Zygmunt Nowakowski**: Holzsohlen. — Pokaz polskich strojów regjonalnych. — **Politicus**: Pg.2 antwortet nicht. — **Ksawery Pruszyński**: Czy Polacy nie walczą o demokrację? — **Gustaw Gazda**: Rzeczy polskie w prasie brytyjskiej. — Rozmaitości. — O książce „Przeżyłem oblężenie Warszawy". — Korespondencja. — Konkurs na pamiętnik żołnierza. — Opuszczona strofa. — Skarbnica Polska. **Jan Kasprowicz**: Z „Księgi ubogich".

OLGIERD GÓRKA

CZEM SKORUPKA ZAMŁODU NASIĄKNIE*)...

Londyn — Portland Place 82 — północ, samotność i towarzysz pies, jak ongi, bardzo dawno niestety, gdy za dni młodzieńczych również tylko z psem w dwójkę siedziałem tam w Polsce, a na mapie — w „Galicji", na Zazulach.

Wtenczas jednak samotność, pies i nastroje, to były smarkate reminiscencje hamsunowskiego „Pana", a dziś, to wojna i najcięższy cios osobistego życia — rozstanie z żoną, dlatego by jeszcze raz na ochotnika spełnić wskazanie księdza Łukasza, które jednak chciałbym tym, co po mnie przyjdą, przekazać. Dziś, to wojna i asystowanie próbie złamania ducha najdumniejszego i najdodatniejszego z narodów, a dla mnie zarazem ekspiacja za te dnie polskiej wojny których mi zabrakło od 18 września 1939 r.

Wysoko gdzieś nad mojem oknem czy cudzemi dachami brzęczy uparcie samolot Niemca lub Włocha i czai się z bombami. Tyle wieczorów, tyle nocy tak do siebie podobnych, że niemal zaczyna to być nudne mimo przymusowych zmian adresu, bo ostatecznie czasami te bomby w coś trafiają. Niemniej ciągle to samo, tak jak ta bezsiła mych myśli, które bez przerwy już przez tyle setek wieczorów przebiegają wiecznie tę samą drogę setek, a potem tysięcy kilometrów, starając się niezmiennie przebić ciągle tę samą tajemnicę, co robią „moi" tam w Kraju, co myśli teraz żona, czem zajmuje się córka i zięć, lub gdzie właśnie teraz śpi mój wnuczek.

Spojrzenie pada przypadkiem na list wydawcy z miłą propozycją, by napisać „wspomnienia młodości". Miła, co więcej — wzruszająco dogodna propozycja, gdyż wśród tych setek o swoich przemyślanych nocy, musi się także myśleć o sobie samym. Ta zaś własna myśl stawia sobie samemu pytanie, jak to się stało, jakiemi drogami uformowało, że muszę raz za razem przeciwstawiać się myśleniu i nastrojom moich rodaków. Dlaczego myśl moja płynie tak ciągle pod nurt nastrojów ogółu, a nieraz nawet wbrew wiwatom i radościom tej polskiej masy, do której tak do szpiku kości należę. Dlaczego było mi smutno na duszy, gdy cała Warszawa wiwatowała na cześć pochodu idącego zaprzysięgać naszą konstytucję marcową, ale tak samo dlaczego musiałem odmówić nawet „dobrym piłsudczykom" wzniesienia kielicha na cześć chyba najgorszej na świecie ordynacji wyborczej z jesieni r. 1935. Dlaczego było mi tak bezbrzeżnie czarno na duszy gdy ulice tej samej Warszawy rozbrzmiewały właśnie wiwatami i muzykami spowodu „zdobycia Zaolzia". Dlaczego, odrzuciwszy mandat, wyjechałem w r. 1930 zagranicę, choć właśnie „moja grupa" była u szczytu władzy. Dlaczego... za długo możnaby tak wyliczać te chwile, fakty, idee i momenty, gdy myśl moja buntowała się, zakładała samodzielnie veto przeciw tym wszystkim przedwczesnym wiwatom, fatalnym tromtadracjom, przeciw zapędom zwycięskich nastrojów, w których wyczuwałem momenty...samobójcze.

Dziś właśnie ktoś z bardzo poważnych powiedział mi, że poprostu pokutuje we mnie duch dawnego „liberum veto", że to buntuje się bez przerwy we mnie — polska natura, że wszystko to, to ciągły wyskok nieśmiertelnego polskiego indywidualizmu. Cenię każdy zarzut, jeśli jest myślą, a nie plwocinami, lecz dziś właśnie pomyślałem sobie, że jednak ten zarzut nie jest słuszny. Jestem już właśnie taki, gdyż to młodość dała tej mojej polskiej naturze takie chwile wglądu w polską rzeczywistość, takie krytyczne błyski rozróżnienia między frazesem, czy złudą słowa lub tryumfu, a szarą prawdą treści, ta młodość, która odsłoniła mi wreszcie pustkę zarówno rzekomo wzniosłych chwil jak wysoko postawionych dygnitarzy. Jeśli ten prąd mojej myśli i czynów musi iść tak często pod nurt, to poprostu nie tylko dlatego, żem już taki z tą polską przekorą przyszedł na ten świat, ale że takim uformowała mię moja młodość.

Może zresztą będzie nawet kiedyś dla kogoś czy dla innych młodych pożyteczne jeśli teraz odtworzę kilka chwil mojej młodości i przywołam z powrotem do życia bogi prawdziwe i fałszywe, którym hołdowałem. Börne powiedział swego czasu, że „w każdym okresie naszego wieku uważamy się za mądrych, a na rozum poprzednich lat patrzymy jako na namiętność". Niewątpliwie, tak wszyscy w ciągu swego życia myślimy, niemniej młodość, to tylko bujne pole pomyłek i niedociągnięć, na którem brak wyrobienia intelektu walczy ze szlachetnemi zapędami. Ostatecznie nawet sam Napoleon w okresie swych samodzielnych młodzieńczych poczynań na Korsyce okazał się tylko rozwichrzonym głuptasem i niedorajdą. Jakżeż jednak jest na tem tle smutne, że u nas w tej, tak tragicznie źle położonej, Polsce byli ludzie dorośli, którzy własną pustkę idei w głowie i w „biurach planowania" chcieli zastąpić szukaniem idei rzekomo u „młodych", a naprawdę za pobliską zachodnią granicą.

Już wpadłem w zgrzyt! Musi mi jednak czytelnik wybaczyć, że moje słowa raz za razem będą zaprawiane gorczycą, a to tylko poprostu dlatego, że polska prawda — musi być gorzkawa.

I

Przyszedłem na świat w domu przy ulicy, która potem otrzymała od współobywateli imię i nazwisko mojego ojca, a od maleńkości imponowała mi na portrecie dziadka w czamarze jego olbrzymia koralowa spinka, bo był z tych „czerwonych" zwolenników roku 1863. Ojciec natomiast lubił się stroić w kontusz, co więcej, już wtenczas jako dzieciak podejrzewałem go, że z tego powodu bardziej czeka na Boże Ciało niż na inne „dłuższe" i opływające prezentami święta.

Byłem dzieciakiem myślącym i namiętnie nabożnym. Marzyłem o tem i stanowczo już od szóstego roku życia zgłaszałem zamiar zostania, ni mniej ni więcej, tylko papieżem. Mimo to już wtenczas nauczyło mię życie, że takie wysokie aspiracje napotykają w praktyce na nieprzezwyciężone trudności. Gdy skończyłem lat siedem, dostaliśmy wraz z mym starszym bratem po autentycznym kucyku od stryja Mieczysława z Łuki i Zazul. Jasne, że kucyk i początkowa jazda na derce stały się dla mnie ośrodkiem i celem całego życia. Nic dziwnego jednak, że najbliżsi znajomi, którzy znali moje papieskie ambicje, poczęli ze mnie pokpiwać, że przecież papież nie może jeździć konno. Pamiętam podziś dzień te moje ówczesne zmartwienia, ale widocznie również wrodzony krytycyzm, gdyż nie wierząc żartownisiom, wypytywałem wszystkich pokolei, czy naprawdę papież nie jeździ konno. Skoro od wszystkich otrzymałem tę samą odpowiedź, zdecydowałem się, choć z ciężkim bólem, na kochanego „Kubę", mego kucyka. Widocznie już wtedy nie miałem w sobie zmysłu do karjery, lecz dozę awanturniczości.

Czytania nauczyłem się przedwcześnie, a chyba niemal równocześnie nabrałem pasji do oglądania map. Obok w pokoju wisiała wielka mapa Polski z r. 1772, zdaje się, w wydaniu Bełzy. Ołówkiem przerysowałem koślawo tę Polskę na mapę Europy mego pierwszego atlasu. Zamalowałem całość ołówkiem na różowo, tak jak Wielką Brytanję, bo Francja, nie wiem dlaczego, była wtenczas zawsze fioletowa, a Austrja zawsze żółta. Może dlatego podziśdzień najbardziej kocham na świecie tę moją Polskę, jako miejsce wyrysowane ołówkiem na mapie, bo to miejsce na mapie kocham nieporównanie bardziej — niż moich rodaków!

Czytać zacząłem nie pamiętam kiedy. Przed i bez szkoły. Czytałem wszystko, ale chyba jako do pierwszych książek dobrałem się do znajdujących się w bibljotece ojca, a pozostałych po dziadku, egzemplarzy z dedykacjami „Mohorta" i „Dziewczęcia z Sącza". Naprawdę dziwnie mi się potem w życiu złożyło, że właśnie w moim plutonie miałem poetę Mączkę-Romanowskiego, a stary Jurjewicz z mego plutonu, poprostu jakby naprzekór rzeczywistości, był podobny kropla w kroplę do Mohorta z kossakowskiej ilustracji.

Może jeszcze wcześniej niż zacząłem czytać, nauczyłem się patrzyć z dziwnem nabożeństwem na rozmaitych starszych panów, o których mówiono „że byli w powstaniu". Ci starsi panowie, którzy nieraz jeszcze, podobno według lat tak niedawno, a w gruncie rzeczy jakby przed wiekami, chadzali w czamarach, pluszowych butach, a od czasu do czasu w kontuszach, zaciążyli ostatecznie nad mym dopiero rozwijającym się móżdżkiem. Tradycja jednak mówionego słowa o polskiej przeszłości sięga w mej pamięci dalej niż rok 1863.

Przy wszystkich moich, zresztą licznych, dziecinnych chorobach, czuwała przy mnie często na ochotnika daleka kuzynka Babińska, zwana jednak przeze mnie i brata „suchą babcią". Otóż „sucha babcia" chętnie opowiadała małemu rekonwalescentowi, i to najczęściej, o roku 1846 i 1848, o rabacji, o bombardowaniu Lwowa przez Austrjaków, oraz jak to rosyjscy czerkiesi strasznego Mikołaja ciągnęli przez Galicję by gnębić bohaterskich Węgrów. Walki bowiem, przeżycia, dzieje ludzi r. 1863, to były już „czasy nowsze" nie tylko dla „suchej babci" ale także dla „tłustej babci", t.j. mojej prawdziwej babki. „Tłusta babcia" z domu Świeżawska była, jak to znacznie później zrozumiałem, poprostu wielką snobką. Wyżywała się najchętniej w opowiadaniach o sprawach hrabiów Ł. czy P., książąt P. czy S., a od czasu do czasu mimochodem przyznawała się do pokrewieństwa z królem Leszczyńskim. Mnie to na szczęście w życiu potem nie zaszkodziło i „na mózg nie uderzyło", bo podrósłszy dowiedziałem się z naukowo całkiem słusznego powiedzenia Selmy Lagerlöf, że niema na świecie rodu, któryby w swem drzewie genealogicznem nie mógł wyliczyć chociażby jednego króla i jednego żebraka.

„Tłusta babcia" lubiła pozatem więcej mówić o literaturze i „towarzystwie", niż o powstańcach. W jej salonie wisiał rzeczywiście piękny portret-płaskorzeźba, robiony przez jakiegoś Włocha, a ofiarowany przez Wincentego Pola. Ponieważ Pol był przytem przyjacielem jej męża, a mojego dziadka Pawła, dowiedziałem się niemal z pierwszemi opowiadaniami, że niewątpliwie największym poetą świata był Pol, a największem arcydziełem jest „Mohort". „Tłusta babcia", gdy zeszła na to rozmowa, lekceważyła sobie Lenartowicza, a nie wiem z jakich powodów przy nazwisku Kornela Ujejskiego wybuchała z pasją w kierunku ocen całkiem ujemnych i absolutnie rozchodzących się z tem wszystkiem czego potem uczyłem się o Ujejskim w podręcznikach literatury. Bolało mię to zresztą, gdyż nie zapomnę nigdy tego skurczu serca, gdy w dzień zaduszny nad grobami powstańców 1863 r. śpiewałem dyszkantem na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie jego „Z dymem pożarów".

Nie było rady. Musiałem się zachwycać „Mohortem" jeszcze jako dziecko, choć naprawdę czytałem chyba z dwadzieścia razy zrzędu prawdziwe arcydzieło, bo „Robinsona Crusoe". Przytem poza marzeniami urządzenia się na własną rękę na własnej wyspie, decyzje co do linji żywota miałem dawno powzięte i fach wybrany. Mimo atmosfery i związanych z tem kontaktów starego przyjaciela mojej „tłustej babci", ks. arcybiskupa Hryniewieckiego, o którego prześladowaniach przez Moskali opowiadano mi już przy karmieniu kaszką, ambicje moje rozstały się niepodzielnie z zamiarami ubiegania się o godność papieża lub chociażby arcybiskupa. Jasne bowiem było dla mnie, że zajęciem mego życia będzie „być powstańcem". Bogactwo ciągle męczonych przeze mnie rysunków Grottgera wypełniało mi tak dalece fantazję i wizje myślowe, że zajęcie, które nazywałem przed sobą „być powstańcem", wydawało mi się pracą absolutnie wystarczającą na wypełnienie życia. Dopiero znacznie później w „Mieczysławie" czyli „Ziuku" spotkałem człowieka, dla którego ten mój fach dziecinny był rzeczywistem życiem człowieka dojrzałego.

Przygotowanie się do zajęcia życiowego „być powstańcem" wypełniało dużo czasu i wrażeń mych pierwszych lat gimnazjalnych. Przedewszystkiem zarówno we Lwowie jak na prowincji Złoczowa czy Rawy umierało podówczas bardzo dużo tych powstańców z r. 1863. Trzeba więc było tak się urządzać dziecinnym sprytem, aby być właśnie na tych „pogrzebach powstańców". Dopiero potem, po bardzo wielu latach studjów, duch rzekomej przekory powiedział mi: gdyby ci wszyscy starsi panowie, którzy chociażby w tej „Galicji" zostali pogrzebani w charakterze powstańców z 1863 r., powstali nagle z grobów i wykonali treść mów, wygłaszanych w czasie ich pogrzebów, bylibyśmy chyba w styczniu r. 1863 rozbili tę przeklętą Moskwę w puch!

Nie przypuszczałem wtenczas, że taka sama historja powtórzy się potem w mej własnej rzeczywistości życiowej i że będę sam wysłuchiwał dziesiątków pochwał, dytyrambów i skłamanych frazesów o tych, co rzekomo „lali krew w legjonach", nie mówiąc już o tem, wiele takich mów wysłuchać jeszcze będę musiał.

Poza pogrzebami, moje przygotowywanie się do zawodu „powstańczego" polegało na upartem oglądaniu wystaw z bronią myśliwską. Przedmiotem mych najgorętszych pragnień były modne wówczas na wystawach, zwłaszcza u Jankowskiego we Lwowie, krucice — oczywiście, dwulufowe. Pamiętam wzruszenie, gdy udało mi się taką krucicę kupić (naturalnie nie wprost), czułem bowiem, że jest to wielki krok w upatrzonej dla siebie karjerze życia. Do rewolweru bębenkowego odnosiłem się z lekceważeniem, nie występował bowiem nigdzie na żadnym obrazie grottgerowskim. Natomiast obok krucicy — przyznaję się szczerze — korciła mię bardzo myśl kupienia niklowanego bokseru i składanego noża szwedzkiego, chociaż respekt dla Grottgera powstrzymał mię ostatecznie od tych bezeceństw.

Z literaturą byłem już całkiem daleko. „Mohort" poszedł w kąt, poeci poczęli mię nudzić poza tak wzgardzonemi przez literaturę powieściami Krasińskiego, „Konradem Wallenrodem" i niektóremi dramatami Słowackiego. Opanował mię bowiem oczywiście na całego i wyłącznie — Sienkiewicz.

Gdy rozpocząłem rewizję ocen historycznych w „Ogniem i mieczem", aby uczcić i uwypuklić pedagogiczną wartość „Potopu", oddałem wówczas winny hołd tym moim dziecinnym sienkiewiczowskim przeżyciom. Pamiętam na całe życie, jak dziś, gdy nie czując rzeczywistości otaczającego mię świata, wchłaniałem w siebie opis bitwy pod Machnówką. Gdy doszedłem do momentu, jak Skrzetuski „wypuszcza" swą chorągiew husarską do ataku, serce przestało mi bić, dusza zaparła się w sobie, i poprzysiągłem sobie na wszystko co jest mi święte, że raz w życiu muszę galopować z polską szablą w ręku w szarży na Moskala. Tak też się stało, że ja, człowiek skądinąd rozsądny, w każdej służbie szukający realnego sensu i skutku, a nie efektu, zostałem w legjonach polskich — kawalerzystą!

Danego sobie przyrzeczenia dotrzymałem już pod Mołotkowem. Byłem w bitwie, konno i z szablą polską w ręku i z okrzykiem „za Polskę!", ale właśnie przez tę złośliwość rzeczywistości, nie z kawalerją, tylko z piechotą w jednej linji, gdyśmy podrywali rozbity bataljon t. zw. buffalobillów, czyli „sokołów" Rucińskiego, do udanego zresztą ataku na bagnety.

Dopiero potem po latach studjów stwierdziłem, że tej dla mojej służby wojskowej tak decydującej bitwy pod Machnówką wogóle nigdy nie było, a rozbestwiony Kozak Maksym Krzywonos był naprawdę „bywszym" polskim pułkownikiem Martinem, właśnie z narodu sympatycznych i szlachetnych Szkotów.

Niema na to rady. Prawda, sucha rzeczywistość kłuje mózg polski i zraża, fałsz, zwłaszcza taki bujny i posuwisty, wabi i ponosi. Najlepszy dowód tego mam zresztą — na sobie samym! Wszak wolny od wszystkich służb wojskowych, pędziłem pędem możliwości przez morze i ziemię z dalekiej Turcji, by jeszcze z biegiem sierpnia r. 1914 stanąć w Krakowie i spełnić w charakterze ułana obowiązek członka Związku Strzeleckiego. Bałem się, że wojna o Polskę rozegra się bez mego cennego udziału i pośpieszyłem się — o całe cztery lata! Cóż jednak było dla mnie podówczas w pierwszych tygodniach sierpnia tym piorunującym bodźcem? Wiadomość wydrukowana w dzienniku francuskim, który mi wpadł w rękę w Konstantynopolu, o krwawym boju polskich strzelców Piłsudskiego pod Miechowem, pod tym Miechowem, którego obraz pożaru z czasu walk powstańczych r. 1863 był wprost wyryty na tęczówkach mojej dziecinnej pamięci i dziecinnych marzeń.

Oczywiście, bitwy strzelców czy legjonistów pod Miechowem wogóle nigdy nie było, a jako że jestem legjonistą drugiej, a nie pierwszej brygady, nie wypada mi powtarzać cudzych opowiadań o tej krowie, co wówczas przez pomyłkę kulą oberwała.

Wbrew mej woli przeszedłem w gawędę, i to dość dowolną chronologicznie, a tymczasem zamiarem moim było wydobycie z mej młodości tych czterech czy pięciu anegdot, któreby wytłumaczyły rozdźwięk w mojem życiu między ukochaniem Polski a krytyką Polaków i któreby uwypukliły istotny powód tych mych, zresztą nieudolnych, prób walki z polską fatalną tromtadracją, megalomanją ocen i zachłystywaniem się górnemi frazesami. Zawróćmy więc do tych pedagogicznie czy pamiętnikarsko wskazanych anegdot.

II

Chowałem się wtenczas w klasztorze x.x. zmartwychwstańców, w zakładzie niezaprzeczenie owianym wówczas najczystszym duchem ks. Kajsiewicza i Semeneńki, głębokiego patrjotyzmu i polsko-ruskiego współżycia politycznego. Żyłem w pędzie coraz to nowych książek, coraz nowych powieści, ale budziła się we mnie potrzeba działania, wprost, natychmiast, oczywiście, dla Polski. Skoro więc wykombinowałem w swoim dziecinnie politycznym mózgu, że już czas „uderzyć w czynów stal", postanowiłem w charakterze czwartoklasisty rozpocząć walkę z Żydami w III gimnazjum Lwowa. Już wtenczas czyny przekładałem nad słowa i w rezultacie z odpowiednią porcją wymyślań politycznych sprałem pewnego kolegę, zresztą Bogu ducha winnego, chociaż coprawda potem, po dziesiątkach lat, stał się jednym z wybitnych przedstawicieli „judeo-masońskiej finansjery".

Całe grono profesorskie zawrzało w oburzeniu! Wszak żyliśmy wtenczas w atmosferze szczerego polskiego liberalizmu i górnych haseł dobrych polskich tradycyj. T. zw. „piernikarz", czyli dyrektor Biesiadzki, zadecydował, że osobnik zdolny do atakowania kolegów „mojżeszowego wyznania", zasługuje jedynie na bezapelacyjne wyrzucenie z gimnazjum.

Na szczęście, przyszła dla mnie odsiecz zarówno z lewa jak z prawa. Bronił mię wybitny „czerwony" roku 1863 Ludwik Kubala, którego pierwsze prace potem, niestety, tak musiałem skrytykować, a który z całym zapałem osłaniał na konferencji swą „perłę historyczną" (celująco ze szczególnem zamiłowaniem!). Z drugiej strony wystąpił z obroną t. zw. spowodu wzrostu „ksiądz kilometr", czyli znany we Lwowie katecheta ks. Jugan, który stwierdził, że po rozmowie ze mną i po zbadaniu motywów nie sądzi, żebym był już tak beznadziejnie zdeprawowanym osobnikiem, zasługującym aż na wyrzucenie z gimnazjum. Skończyło się na 8 godzinach karceru, a ostatecznie potem moje wyrobienie polityczne posunęło się w każdym razie nieco dalej z biegiem lat. Niewątpliwie jednak był to rozwój intelektualny pod nurt, skoro po latach niemal czterdziestu można było oglądać w Polsce widowisko, że z przedstawicielami myśli politycznej na poziomie Górki z czwartej klasy pertraktowano na naczelnych miejscach — w myśl powiedzeń znanego publicysty — jak „z zaprzyjaźnioną potęgą". Zapuśćmy na to zasłonę i jedźmy ku sferom i zagadnieniom piękniejszym!

Trudno, a nawet ciężko jest mówić w druku o sprawach bardzo osobistych. Skoro jednak gdzieś tam o tem jakaś drukowana notatka istnieje, niech przejdzie także

W. B. YEATS

FRAGMENT Z „WIATRU WŚROD TRZCIN"

Gdybym miał nieba wzorzyste szaty,
Utkane złotem i srebrnem światłem,
Jasne, i mgliste, i ciemne szaty,
Owiane nocy mgłą i dnia światłem;
Tobym ci płaszcz ten rzucił pod stopy;
Lecz jestem biedny i żyję po snach,
I sny ci rzucam tylko pod stopy,
Stąpaj ostrożnie, bo stąpasz po snach.

W. B. YEATS,
przełożył
STANISŁAW BALIŃSKI.

HERMON OULD

SMUTEK ŚW. JANA

Święty Jan leżał wśród nocnej mgły,
Tęskniąc za Mistrzem.
Po bladej twarzy spływały łzy,
Coraz obfitsze.

Rzekł Tomasz: „Pan nasz zasnął, więc rzuć
Żal nieistotny".
Ale Jan woła: „O śmierci, wróć,
Takem samotny!".

Łukasz go słodko pocieszać chce,
Święty Piotr gderze,
Żałobna Marja w objęcia swe
Młodzieńca bierze.

A ten, którego Pan ze swych sług
Najbardziej kochał,
W ciemną noc kwietnia, bez gwiazd i smug,
Szlochał i szlochał.

HERMON OULD,
przełożył
STANISŁAW BALIŃSKI.

H. C. STEVENS

LUTY 1941

Jest pierwszy powiew wiosny w powietrzu.
Łagodne pąki wschodzą już z cieni;
Drozd jakiś śpiewa czule z ukrycia,
A z wonnej ziemi
Wysmukłe trawy rwą się do życia.
Wróble gadają w głębiach ogrodu
O nadchodzącej słodyczy miodu.
Jest obietnica wiosny w powietrzu.

Jest pierwsze brzmienie wiosny w powietrzu.
Gdzieś, ponad głową, w blaskach podniebnych
Warczą motory. Ich głuche dźwięki
Łączą się w akord z przeciągłym jękiem
Syren wróżebnych.
W oddali pocisk wybucha siewem
Wiosennej śmierci, kwitnącej bujnie
Nad poparzonem Londynu niebem,
Które straż pełni wiernie i czujnie.
Jest pierwsza groźba wiosny w powietrzu.

I jest nadzieja wiosny w powietrzu,
Bo znaki śmierci, choćby najsroższe,
Znaki, od których serca się prężą,
Śmierć przezwyciężą.
I to co w naszem życiu najdroższe —
Miłość i wiarę, przyjaźń ofiarną —
Wszystko oddamy sprawie wolności;
Niech jej zielone wystrzeli ziarno
Kwiatem i liściem żywej radości
Ponad niewoli pustynię czarną.

Jest wieczna ufność wiosny w powietrzu.

H. C. STEVENS,
przełożył
STANISŁAW BALIŃSKI.

BIBLIOTEKA KÓRNICKA PAN

---

*) Z książki zbiorowej „Kraj lat dziecinnych", która ukaże się niebawem nakładem M. I. Kolina.

teraz do druku anegdota o mojem przeżyciu, która nie tylko przyszłemu, ale już obecnemu pokoleniu młodzieży powinna powiedzieć, w jakiej atmosferze wyrastaliśmy my, ci niezaprzeczalni dla przyszłej polskiej historji — czy ktoś chce czy nie chce — bojownicy o niepodległość Polski.

Mniejsza z jakich powodów, — zresztą bez znaczenia, — popadłem w groźny konflikt z mojemi władzami klasztornemi, który się skończył skazaniem mnie na przykładne i publiczne klęczenie na korytarzu. Miałem lat jednak prawie czternaście, a znajomością literatury polskiej i historji mogłem się mierzyć z maturzystami; przeżywałem zagadnienia polityczne, chciałem Polskę reformować i organizować, a tymczasem miałem klęczeć na korytarzu! To było ponad moje siły i dumę. Postanowiłem nie ustąpić za żadną cenę, a gdy wszyscy solidarnie przeciwko mnie wystąpili, zdecydowałem się ni mniej ni więcej niż tylko — na samobójstwo. Skoczyłem z bardzo a bardzo wysoka w przestrzeń, ale snać już od kołyski niemal, stały przy mnie dobre wróżki, czuwające bym z wszystkich sposobów ryzykowania skóry i życia wynosił nieuszkodzone życie, nienaruszony mózg i pocharatane kości. Nie udało się! Żyłem, zawinięty w bandaże, ale przerażenie moich opiekunów duchownych było chyba większe spowodu faktu, że samobójstwo, — grzech najcięższy, — to to samo co zabójstwo duszy, niż spowodu głośnego skandalu (ojciec był wtenczas posłem!). Zażądano więc ode mnie przedewszystkiem aktu skruchy, objawów pokory chrześcijańskiej, a tymczasem we mnie, jak w młodym żbiku, szalały dalej wszystkie djabły buntu, podgrzewane gorączką połamanych kości. Oświadczyłem, że nie ustąpię, nie poddam się wszystkim potencjom nieba i ziemi, bo widocznie przecież mam w sobie polską naturę i twardą czaszkę, która także i potem musiała niejedno przetrzymać.

Wobec tego zapowiedziano mi przyjście do mnie, jako spowiednika, ks. Łukasza Wronowskiego. Lęk padł na mnie! Ojciec Łukasz był ślepcem z powstania 1863 r., nosił długą, siwą brodę i wygłaszał do nas przepiękne kazania patrjotyczne, bo kazał tylko w święta narodowe i rocznice. W klasztorze chodził w sławie opowiadań zarówno o swych powstańczych przewagach jak o męczarniach, znoszonych w katorgach Sybiru. Powtarzam, że blady lęk padł na młodego żbika, ale mówiłem sobie wkółko: „nie ustąpię, nie ustąpię“.

Braciszek-zmartwychwstaniec wprowadził do mej celi ślepca. Ten kiwnął ręką by odszedł, a potem obmacał mi głowę, bandaże, przeżegnał, pogłaskał, usiadł. Dziś pamiętam te chwile bardziej, niż wszystkie inne mego życia. Usiadłszy, zadumał się ojciec Łukasz, nie wiem nad czem, ale zapewne nad tymi Polakami. Poczem cicho rzekł do mnie tylko jedno zdanie:

— Coś ty chciał zrobić, chłopcze? Zabić przyszłego żołnierza Polski! Pocoś przyszedł na ten Boży świat, przecież tylko poto, by być w powstaniu, by bić się za Polskę, a tyś już chciał zabić przyszłego polskiego żołnierza.

Załamało się nagle wszystko w mojej duszy, bardziej, głębiej, groźniej, niż wtenczas gdy mi się zdawało, że ogrom kamienicy na Piekarskiej we Lwowie nakrywa mnie swoim grobem. Zwlokłem się z łóżka, ucałowałem rękę starca, poprzysiągłem pokorę, prosiłem abym mógł iść klęczeć natychmiast na oczach wszystkich. Oszczędzono mi tego, bo w gruncie rzeczy wszystko, łącznie z samobójstwem, było jednem wielkiem głupstwem, z wyjątkiem tego, że mię ojciec Łukasz nauczył, poco młody Polak przychodzi na ten Boży świat.

Wbrew własnemu psychicznemu oporowi sięgnąłem aż do tak osobistej anegdoty, bo piszę z myślą o tej młodzieży, która po mnie przyszła do głosu już w odrodzonej Polsce. Jej bowiem umysłowość, w rezultacie fatalnego wychowania, zakłamanego wykształcenia, a w dużej mierze przez zdeprawowanie niemieckiemi wpływami, bolała mię zawsze bardziej i dłużej niż ongi te połamane kości. Pamiętam, jak profesorowie uniwersytetów tak niedawno zachwycali się wspóną (bezcelowo skonfiskowaną) odezwą naszych „Bratnich Pomocy“ uniwersyteckich, odezwą, która żądała wpływów politycznych (!) z pompatycznem uzasadnieniem, „że młodzież polska już kilkakrotnie oświadczała Naczelnemu Wodzowi (Śmigłemu) gotowość przelania krwi za Ojczyznę“. Wszyscy się zachwycali, gdy mnie wprost wściekało to zachłystywanie się napuszonym frazesem w duchu „żywych torped“, ogłaszanych imiennie w „czerwonym kurjerku“, godnych chyba faszystowskich „bataljonów śmierci“, które potem poddawały się w całości. Chciałem wówczas wprost krzyczeć do tych zjednoczonych „Bratnich Pomocy“: a pocoście przyszli na ten Boży świat, zwłaszcza że kodeks karny państwa polskiego obowiązuje was do „przelewania krwi“ całkiem tak samo jak wszystkich Ukraińców i Żydów?

Niech więc nikt nie dziwi się i zbytnio mi za złe nie bierze, że moja myśl i moje uczucie wrzały oburzeniem na niejedno co tylu mych rodaków wprost zachwycało. Dziś te fatalne wpływy wychowania młodzieży w odrodzonej Polsce zostaną niewątpliwie i gruntownie wyleczone, ale niestety, dopiero przez nieludzkie, choć przejściowe kajdany obcych okupacyj! Żelazna Gwardja dzisiejszej Rumunji jest najlepszym pokazem dla polskiej przyszłości, do czego muszą doprowadzić pewne, nieraz nawet najbardziej wzniośle brzmiące, frazesy: do niemieckiej okupacji resztek wielkiego państwa, skrwawionego ohydnemi mordami przeprowadzonych (a gdzieindziej planowanych) nocy św. Bartłomieja.

Niepodobna w Polsce — a może już tylko ja nie umiem — pisać bez zgrzytów, gdy tymczasem trzeba wracać do anegdot młodości! Kości źle złożone trzeba było nanowo łamać, a pozatem oczywiście zostałem „wylany“ z gimnazjum, narazie po raz pierwszy! Znalazłem się w Samborze, gdzie rozpoczęły się dzieje mego politycznego konspiratorstwa.

III

Niedługo po przybyciu do mej nowej uczelni zostałem wtajemniczony przez starszych kolegów, że w gimnazjum istnieje „tajna polska organizacja“. Były to tajne kółka gimnazjalne, stojące na dalszą metę pod auspicjami „Ligi“, a na bliższą — czasopisma „Teka“ we Lwowie.

Oczywiście, najsilniej utkwił mi w pamięci moment przyjęcia do organizacji, kiedy przy ul. Tkackiej składałem konspiracyjną przysięgę na dochowanie tajemnicy. Krucyfiks postawiony na studenckim stole nie przerażał mię zbytnio, bo go dobrze znałem, ale dziwnie hipnotyzująco i niepokojąco działały na moją fantazję dwie obok stojące palące się świece. Nigdy jednak, nawet wówczas, nie chciałem działać na ślepy kredyt. Mimo dłuższego orjentowania mię o celach pracy tajnej, zapytałem w ostatniej chwili wprowadzających, kto stoi na samem czele tej organizacji, na kogo właściwie przysięgam. Odpowiedziano: Jeż-Miłkowski. Przysiągłem.

Szybko, dzięki znajomości historji, wybiłem się w mojem kółku, co więcej, zostałem prezesem czy szefem, a moim zastępcą czy adjutantem był później tak znany ś. p. Karol Wierczak, długoletni sekretarz generalny Stronnictwa Narodowego. Coprawda, nie dokonywaliśmy wielkich zbrodni antypaństwowych w tem tajnem kółku. Praca polegała na dorywczych patrjotycznych referatach, a rzeczą podstawową, poza czytaniem od czasu do czasu „Teki“, „Polaka“ i t. d., było uczenie się historji Polski, ale nie według urzędowego podręcznika Lewickiego, tylko według Smoleńskiego. Wtenczas to po raz pierwszy w kółku, któremu prezesowałem, dotknąłem się niemal palcem różnicy między piękną, nawet wzruszającą, formą a rzeczywistością! Historji Polski uczono wówczas w gimnazjach galicyjskich, jako przedmiotu nadobowiązkowego i w godzinach popołudniowych, pod nazwą „Historji kraju rodzinnego“, czyli t. zw. po studencku „krajówki“. Niemniej wszyscy musieli na to chodzić i uczyć się polskiej przeszłości. Na tajnych zebraniach posuwaliśmy się z tą naszą konspiracyjną historją Smoleńskiego powoli, w zasadzie dochodząc do Łokietka, a czasem do Kazimierza. Tymczasem — o hańbo i wstydzie! — jeden z konspiratorów mego własnego kółka oberwał na półrocze t. zw. „dwójkę“, czyli niedostatecznie, i to właśnie z „krajówki“, zdaje się za tego samego Łokietka czy Kazimierza, którego nauczałem pod tajemnicą przysięgi. Poczułem już wtenczas, że w tej tajnej robocie coś jest w nieporządku i że to w każdym razie bardzo daleka droga do odrodzenia się Komitetu Centralnego Narodowego z r. 1862.

W studjach i zamiłowaniach z zakresu literatury polskiej przeszedłem już podstawową ewolucję. Sienkiewicz poszedł na całego do lamusa rzeczy przebytych i przeżytych wraz z wszystkiemi „łopocącemi w powietrzu husarskiemi proporcami“, bo przez „rzygające ogniem armaty“ Wacława Gąsiorowskiego nie przechodziłem wogóle nigdy. Myśl i uczucie pana prezesa kółka opanowało nagle „Wesele“! Tam to bowiem w Samborze przy twardych słowach Stańczyka, pieniądzach rozrzucanych przez Branickiego i muzyce Chochoła zrodziła się we mnie jakaś pierwsza głębsza myśl, jakiś wiew prawdy o Polsce w tym tak młodziutkim móżdżku. Do Sienkiewicza wracałem oczywiście razporaz, jak ongi do Defoego, ale to dla przyjemności czytania, bo zniechęcił mnie przez „Rodzinę Połanieckich“; toteż w zaciętych debatach studenckich stawiałem wówczas wyżej głębię myśli Bolesława Prusa. Na tak formujący się mózg gimnazisty padł, z ciepłemi promieniami majowego słońca, nagły a przykry wgląd w polską rzeczywistość, czy raczej w ogólnoludzką rzeczywistość rozdźwięku między formą a treścią, między słowem a faktem, między hasłem a rezultatem.

Głęboko pamiętam to całkiem drobne zresztą przeżycie, czy raczej wrażenie. Południe, upał, prymitywna samborska ulica i zdaleka dochodzące dźwięki „Marsza sokołów“ wraz z gromkim śpiewem, zapowiadającym że podniesie nanowo świat i doda mu sił. Wsłuchałem się w pieśń i w te niebosiężne słowa, a tymczasem nadszedł sam pochód z przepięknym sztandarem. Poczciwe, spocone, opasłe brzuchacze, pełne piwa i animuszu, istna kwintesencja burżujskości i kwietyzmu codziennego życia. Wiem, że za wyznanie takiej myśli czy obserwacji można było być w dawnej czy w obecnej Polsce ukamienowanym, ale może właśnie dlatego trzeba, żeby raz było to powiedziane. Więc to ci kochani poczciwcy mają uderzyć w złoty róg „Wesela“, oni mają ruszyć z posad kulę ziemską, bo jednak trzeba było ziemię z posad poderwać, aby rozerwać potęgę trzech czarnych orłów. Trudno samemu o sobie to ustalać, ale mam wrażenie, że to wówczas właśnie w głowie młodego gimnazisty, połykającego po nocach Szujskiego, przysięgającego na Bobrzyńskiego, żyjącego Wyspiańskim, „Grobem Agamemnona“ czy „Testamentem“, zrodził się ten bakcyl „historycznego rewizjonizmu“, który jednak po mnie — czy ktoś chce czy nie chce — w myśleniu polskiem zostanie.

Nowe „wylanie“ z gimnazjum, a to mimo wszystkich celujących ze szczególnem zamiłowaniem na świadectwach, zaostrzyło tylko zewnętrzne możliwości zwrotu na lewo i do rewolucjonizmu. W „organizacji“ już pod koniec zacząłem się czuć źle, gdyż właśnie zjawiły się tam pierwsze przebłyski pokpiwania z hasła walki zbrojnej i powstańczej ponad wszystko, a coraz bardziej było widoczne, że ta młódź mojego pokroju rozbije się na prądy agitacyjno-polityczny i rewolucyjno-niepodległościowy.

Nowe gimnazjum w Złoczowie, to z jednej strony czasy bałagulstwa i „paniczykostwa“, którego odgłosy znalazły się w świetnej książce p. t. „Karmazyny i żuliki“ mego „sąsiada“ i nieodstępnego towarzysza studenckich awantur i „stancyj“, Jurka Strzemię-Janowskiego, z drugiej — bałagulstwo tego okresu rozszerzyło tylko szukanie dróg, prowadzących do mego „złotego rogu“. Teraz bowiem czułem już, że trzeba ich szukać gdzieindziej, a przedewszystkiem u wszystkich, szeroko i głęboko, i to nie tylko u swoich, ale także u pobratymców. Cicho, gdzieś w głębi duszy, marzyłem, że kiedyś będę stał na czele takiej zbrojnej bandy polsko-ruskiej, czy polsko-ukraińskiej, i bił się z zaborcami w poczuciu, że każda bez wyjątku chata tej galicyjskiej ziemi będzie moim sprzymierzeńcem.

Tymczasem wchłaniałem w siebie wszystko co trąciło nauką, „socjologją“ i „naukowem rozwiązaniem“ wszystkich zagadnień świata. Raz Schöffele, raz Kautsky był na porządku dziennym, a potem dla odmiany niemal obok siebie Nietzsche i Comte, ale tak naprawdę z pożytkiem, to prace Struwego i Feldmana. Doszły wtencasz do mnie pierwsze echa rosyjskiej „Dubinuszki“. Poza melodją, najwięcej przemówiło mi do przekonania, że ta światoburcza pieśń rewolucyjna zapowiadała z wyjątkowo groźną skromnością „podniesienie zielonego dębczaka na ruskiego cara“. W rzeczywistości bowiem ten skromny „dębczak“ naruszył podstawy kuli ziemskiej, która zdaje się, nie zauważyła zapowiedzianego wskrzeszania przez naszych „sokołów“.

Chwytałem się coraz trudniej rzeczowo dostępnych mi dzieł; wtenczas to — o dziwo — pociłem się m. in. nad samymże „Kapitałem“ Marxa i dlatego właśnie nigdy nie zostałem socjalistą.

Odejdźmy trochę od młodości. Gdzieś potem pytano się mnie raz w miłem kole pepesiaków, dlaczego będąc tak radykalny, nie jestem socjalistą. Przypomniałem sobie wtenczas moje gimnazjalne oburzenie na niedokładność agrarnych wywodów Marxa i odpowiedziałem szczerze:

— Wam to przyszło dużo łatwiej niż mnie, boście nigdy nie czytali Marxa!

Bogiem a prawdą — dużo jest w tem prawdy. Bo ostatecznie na tym „Kapitale“ w naszej patrjotycznej i mocno po szlachecku zaciągającej P.P.S. znał się dobrze Herman Diamand, podobno znacznie lepiej Cederbaum ale nawet „wielki Ignac“, czyli Daszyński, to już właściwie tak bardzo według ułatwień Kautsky'ego czy Bebla. Jodko wogóle się tem nie interesował.

Mimo to na tej manierze postępowca i znajomościach z pepesiakami — koniec końców — potem źle skończyłem, gdyż dałem się wciągnąć przez Walerego Sławka do Związku Strzeleckiego w Krakowie. Zastrzegłem się wtenczas w r. 1912 przed Sławkiem, że nie jestem socjalistą i że nie chcę wpakować się w żadną socjalistyczną robotę. Lecz Sławek, którego bezspornej uczciwości już wtenczas nikt byłby się nie odważył zakwestjonować, zaręczył mi, że chodzi tylko o nadpartyjną akcję niepodległościowo-powstańczą. Ponieważ zaś, jak wspomniałem, ojciec Łukasz mi wytłumaczył, poco przyszedłem na ten Boży świat, więc ostatecznie wdepnąłem w tę całą „żydowsko-socjalistyczną intrygę“, jak wtenczas nazywano nieraz w prasie i wśród wielu moich bliskich, „Strzelca“ i przyszłe polskie legjony.

IV

Mógłbym na tem miejscu w interesie cierpliwości czytelnika skończyć te moje młodzieńcze wspomnienia, gdyby nie to, że właśnie przyszły mi na myśl zasady pisarskie mego ukochanego autora z gimnazjalnych czasów Złoczowa, Dekkera, znanego jako Multatuli. Multatuli nauczył mnie bowiem, dlaczego pisanie do druku ma wogóle sens. Zwierzał się on swoim przez siebie gromionym Holendrom, że nie znosi pisania i wogóle nie ceni tego co pisze, ale chce im wbić w głowy pewne prawdy i pewne postulaty. Z emfazą wołał Multatuli: „Nienawidzicie mię, ale musicie mię czytać!“. W rzeczywistości też wiele wywalczył dla bronionych przez siebie gorąco Jawajczyków, a to może najwięcej cudowną wprost nowelką „Saidah i Adinda“.

Możesz więc mnie, t. zw. kochany czytelniku, znienawidzić, bylebyś mię przeczytał i wnioski z przeczytanego wyciągnął. W gruncie rzeczy jednak wątpię, czy nawet za cenę budzenia niechęci a nawet nienawiści można swoich do czytania skłonić. Na dowód podam cyfry o sobie samym.

Bez przesady, sto czy dwieście tysięcy ludzi, a może nawet więcej, dyskutowało w Polsce i polemizowało w rozmowach z mojemi rzekomemi „napaściami“ na Sienkiewicza. Setki piór — również bez przesady, sądząc po wycinkach — polemizowało nawet w druku z mojemi wywodami, chociaż większość oponentów nie znała wogóle moich artykułów, albo — tylko urywki, ograniczając się do czytania, stale przeze mnie piętnowanych, kłamstw na mój rachunek, zniekształceń tekstów i t. d., drukowanych przeważnie na łamach „Ilustrowanego Kurjera Codziennego“. Co więcej, zdarzali się nawet profesorowie uniwersytetu, którzy polemizując ze mną, nie zadali sobie trudu przeczytania całości mych wywodów, a autor artykułu, który największem może odbił się echem, otwarcie przyznał się, że nie czytał nigdy nic napisanego przeze mnie. Książka moja na ten temat p. t. „Ogniem i mieczem“ a rzeczywistość dziejowa“, recenzowana kilkakrotnie zagranicą, a ani razu w Polsce, rozeszła się (łącznie z wszystkiemi polskiemi bibljotekami) dokładnie w 220 egzemplarzach! Niech te cyfry pozostaną dla potomności jako przyczynek do źródeł nastrojów i sposobów urabiania sądów w dziesięcioleciu sprzed ostatniej wojny. Mimo to — volens nolens ze strony t. zw. „kochanego czytelnika“ — wracajmy do Złoczowa.

Piękne to były czasy tej mojej bałagulskiej młodości z awanturami, polowaniami, tygodniowemi objazdami bryczką, procesami i zajazdami niemal jak w „Panu Tadeuszu“. Trudno wprost pomyśleć, że to tak właściwie niedawno, a jednak życie i wieś polska wyglądały zupełnie inaczej. Przedewszystkiem zaś chłop polski, a także ukraiński, pod wielu względami w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu dokonał większego skoku naprzód i ku górze niż przedtem przez dwa lub trzy wieki. Zniknęły przecież z tych stron kurne chaty, parciane ubrania i słomiane kapelusze. Zniknęły dziedziczone buty, jako wkładane tylko w niedzielę przed wejściem do kościoła, a wszyscy, nawet tam w Zazulach, chodzą obecnie już ubrani „z niemiecka“ i w kaszkietach, dziewczęta w pończochach, a arendarze są nawet syjonistami! Za moich czasów młodości, czy za tych czasów sprzed wielkiej wojny, było jeszcze całkiem a całkiem inaczej. Pewien arendarz, czyli jak naprawdę mówiło się — karczmarz, chodzącej poczciwości Majorek, był jakby żywem wcieleniem Jankiela z „Pana Tadeusza“, o ile chodziło o serce, nastroje i polskość, a natomiast drugi mocno trącił Szekspirem. Spotkałem podobnego Majorka-Jankiela jeszcze w tym tragicznym dniu 17 września 1939 r. w Obertynie, gdy opłakiwał serdecznie załamanie się „polskich rządów“, do których, jak twierdził, „od dziadków swoich się przyzwyczaił“. Płakał z żalu, bo nie wahał się zapewniać, że ostatecznie nie boi się „tych bolszewików“. Obydwaj ci jednak wspomniani karczmarze z dni mej młodości nic jeszcze nie wiedzieli ani o partji syjonistycznej, ani o „Agudzie“, zajmowali się tylko przeżyciami dworu cadyka, intencjami pana starosty, a tytułem prywatnej dumy było dostarczanie wszystkim wybitnym „katolikom“ możliwie najlepszej ryby po żydowsku. Polacy i Rusini, ci jeszcze rozbici na Ukraińców i moskalofilów, spotykali się ze sobą zarówno w szerokich warstwach społecznych jak wśród burżuazji bez powojennego muru przedziału i wrogości. Co więcej, w szerokiej masie chłopskiej łączyło Rusinów z tamtejszym chłopem polskim wspólne poczucie pretensji i „krywdy“ do „skarbowego“, czyli dworskiego.

—Pamiętam moje debaty polityczne z trzema księżmi ruskimi z kolatorskich cerkwi na obiadach w Łuce z okazji „prażników“, gdym jako smarkacz robił honory domu, przyczem oczywiście ja biegle mówiłem po rusku, moi księża biegle odpowiadali po polsku, bo taka wtenczas obowiązywała grandezza. Zrozumiałem już wtenczas, że trudność może największa, jeśli chodzi o posuwanie się polskości w tych stronach, leży w sprawach kościelnych i w niezbędnem wprost dla katolicyzmu protegowaniu unji. Uczyłem się równocześnie wtenczas duszy chłopa nie tylko polskiego ale i ruskiego, szukając każdej okazji by być na chłopskich „święconych“ czy przy pogawędkach wieczornych na progach lub przy studni. Otwierałem wtenczas swoje „młode oczy“, by niestety, uczyć się jak dalece ta polska wielka własność, nadęta w swych „podolackich“ toastach frazesami o roli „wiekowych strażnic kresowych“, stanowiła naogół w rzeczywistości nieprzebytą zaporę dla postępu polskości ku wschodowi i dla wytwarzania się przywiązania do Polski jako „dobrej matki dla wszystkich“ bez różnic narodowości, wiary i pochodzenia, w myśl wierzeń naszej wielkiej emigracji i tych co nieśli między lud „złotą hramotę“ r. 1863. Wprost ciężko o tem myśleć jak kilkadziesiąt lat wpływów niemieckiego nacjonalizmu zatruło niejedną stronę tej pięknej polskiej duszy narodowej, niemal całego wieku XIX. Niewątpliwie zaś obok tego nie bez wpływu był przed wiekami, a oddziaływał potem fakt, że ongi „pasierb Polski“ Jarema Wiśniowiecki „nie stracił głowy pod toporem kata“, jak nad tem ubolewał w tych właśnie słowach najgłębszy polski powieściopisarz, Bolesław Prus.

Uczyłem się równocześnie coraz częściej, a może nawet przeważnie, zauważania tej różnicy między formą i treścią, między tytułem a zawartością. Żyłem w przyjaźni z kolegami, którzy w skrajnej biedzie mieszkali kątem za półtora „ryńskiego“ miesięcznie i dojadali kaszą i razowym chlebem, bo pochodzili niemal z kurnych chat. Żyłem w przyjaźni z kolegami z przerażającej nędzy małomiasteczkowego ghetta. Niejeden z nich potem, wyrobioną w sobie kulturą oraz finezją życia stał się niemal „arbitrem elegantiarum“, podczas gdy dla odmiany inni, znani mi również, którzy mieli 5-pałkowe czy 9-pałkowe korony wyhaftowane nawet na kalesonach, pozostali uosobieniem ordynarności, siąkali z talentem w palce, a nawet — co gorsza — krajali rybę nożem.

Spyta się mię może ktoś, czy zwracanie na to uwagi jest rzeczywiście tak ważnem zagadnieniem. W Polsce, niestety — tak. Przez szlacheckie pochodzenie i pokost literatury i kultury — w Polsce snobizm jest nawet miary politycznego nieszczęścia. Nieszczęścia, które w ostatnich czasach objawiło się w stolicy silniej niż kiedykolwiek.

HENRYK SIENKIEWICZ

POTOP

dwa pierwsze tomy po 4/6 (w opr.)

do nabycia:

M. I. KOLIN (Publishers), LTD.,

9, NEW OXFORD STREET, LONDON, W.C.1 i 28, KING EDWARD STREET, PERTH

V

Nie byłby ten obraz mojej młodości, pełen księży, wsi, „wylań“, marzeń powstańczych i wrażeń politycznych, szczery i dokładny, gdyby nie znalazła się w nim czarno-żółta wzmianka o „cysarzu“, a także pierwsze echo tej gigantycznej walki, która rozrywa świat w chwili obecnej.

Rodzina mej matki, to typowe lwowskie mieszczuchy, a więc gorące Polonusy niemieckiego pochodzenia. Dziadek, wyżywający się w sprawach lwowskiego magistratu i „Strzelnicy“, z niemieckim już niezbyt dobrze dawał sobie radę, a babka ze strony matki była co najmniej tak dumna ze swojej Ostoi, jak „tłusta babcia“ ze swych koneksyj. Niemniej ta droga prowadziła do wszystkich habsburskich tradycyj, i młody kandydat na powstańca nieraz zadumał się drwiąco, patrząc się na jakiegoś tam swego przodka, który obok wspaniałego harzapu i błyszczącej peruki nosił imponująco dziwny tytuł „Obersteuereinnehmer von Tirol“. Wielu bowiem tych „niemieckich Polaków“ wcześniej czuło gorąco po polsku od niejednego słowiańskiego Polaka. Jak bowiem nieprawdopodobną siłę atrakcyjną miała ta dawna polskość XIX wieku, skoro sam twórca polskości miast Galicji Zyblikiewicz był de domo Niemiec Siebel, i to w dodatku obrządku grecko-katolickiego, a rodzice najbardziej zewnętrznie i wewnętrznie typowego Polaka XIX wieku, Franciszka Smolki, przecież niebardzo umieli po polsku.

Wróćmy jednak do „cysarza“, bo jest konieczne bym szpilki rozsiane w tych wspomnieniach rozciągnął i na czarno-żółte koneksje. Stryj mojej matki, Polak w czarno-żółtym sosie, był radcą dworu i szczególnie dumny z tego, że wszyscy kelnerzy Wiednia tytułowali go ekscelencją, do czego zresztą nie miał prawa. Miał jednak według swego poczucia tytuły do jeszcze większej chwały! Przez jakieś tam bowiem swoje talenty łowieckie podobno chodził na kozice z samym Franz Josephem, a przynajmniej, jak twierdził, był nawet (!) zapraszany do Ischlu, prywatnej rezydencji Franciszka Józefa. Oczywiście, przy cenniejszej okazij „podpuszczał“ w swych opowiadaniach ten Ischl i kozice, niczem „tłusta babcia“ — króla Leszczyńskiego. Kłaniał się chyba wszystkim byłym i bieżącym ministrom, a zato nawet arcyksiążęta witali się z nim na ulicy.

W pogoni za coraz „lepszemi“ ołtarzami wiedzy znalazłem się na studjach w Wiedniu i temu zawdzięczam błysk wglądu w rozum rządzenia w nieboszczce Austrji, szczegół, który może powinien przejść do pamięci potomnych. Zbijałem właśnie bruk na Kärthnerstrasse, gdy zaprosił mię do kawiarni stukaniem hebanową laską w okno — mój „Grossonkel“. Siedział w towarzystwie dwóch starszych panów, z których jeden miał wspaniałą czarną brodę, a drugi siwą w szpic. Okazało się szybko że niema karesu bez interesu. Zaproszono mię do tego poważnego grona, ponieważ starsi panowie namiętnie spierali się, kogo jest więcej w austrjackiej monarchji: Polaków czy Rusinów; ja zaś właśnie jako ten, który świeżo zdał bardzo dobrze maturę, powinienem przecież to najlepiej wiedzieć. Nie zawiodłem; niczem najnowszy podręcznik lub katarynka, wysypałem całą galicyjską statystykę narodowościową i religijną, uzupełniwszy na przyczynek Bukowiną, a wreszcie dla poprawienia szans polskich nawet Księstwem Cieszyńskiem i Opawskiem. Jeden ze starszych panów gwałtownie zatryumfował: „Zawsze mówiłem, że cała większość polska w Galicji zależy tylko od Żydów“, bo rzeczywiście t. zw. większość polska w Galicji i 77% mandatów opierały się przez dziesiątki lat na zaliczaniu wszystkich mojżeszowego wyznania do polskiej narodowości. Dyskusja dygnitarzy potoczyła się dalej, poczem wobec zacnej kawy i odpowiedniej ilości ciastek wypadało fundatora odprowadzić do domu...

Zapytałem się więc mego wuja-dziadka, kto byli ci dwaj panowie nie znający tak podstawowych w polityce rzeczy. Obruszyła się moja pseudoekscelencja i powiedziała, że jeden, to był dr. Bärenreiter, zdaje się podówczas już „bywszy“ austrjacki minister spraw wewnętrznych, a drugi, jak powiedział z nabożeństwem, „sam pan baron Schiessl“. Baron Schiessl — szef kancelarji cesarskiej, a właściwie szyja samego cesarza Franciszka Józefa, kręcąca przez lat chyba kilkadziesiąt cesarską głową wśród licznych zmian gabinetu.

Pożegnałem się pośpiesznie, bo opanował mię t. zw. „pusty śmiech“. Więc dwóch takich decydujących dygnitarzy musiało się dopiero u świeżo upieczonego maturzysty dowiadywać jak naprawdę wygląda jedno z najważniejszych zagadnień nieboszczki Austrji. Na szczęście, byłem już historykiem, więc zrozumiałem, że życie odkryło mi to co wielki kanclerz Gustawa Adolfa, Axel Oxenstierna, nauczał w listach wprost swego syna, a mianowicie: „Quantilla sapientia mundus regitur“. „Quantilla sapientia“, a może właściwiej „quanta stultitia“ często jest świat rządzony — oto wskazówka młodości, której prawdziwość tyle a tyle razy potem musiałem przed sobą stwierdzać. Wyszłoby to mocno poza ramy „wspomnień młodości“, gdybym przytaczał własne rozmowy i anegdoty o tym „rozumku“ czy raczej głupocie rządzącej światem; wystarczy by — z obcych tylko — przypomnieć sobie ex-ministra B., który wywołał wojnę światową, by zgubić swą dynastję, a tem samem stworzyć warunki odrodzenia Polski, lub generała F., który kierował w pewnym momencie wojną Niemiec niemal z całym światem. W wielu bowiem wypadkach wracało mi na myśl to wspomnienie z Wiednia, tak samo jak nieraz zastanawiałem się, dlaczego — skoro Sprawiedliwość-Temida ma opaskę na oczach — na pewnych ministerstwach spraw zagranicznych i wewnętrznych nie figuruje na portalu przytoczony cytat z Oxenstierny.

Znowu brzęczy nad oknem samolot jakiegoś Niemca, czyli jak moi znajomi trafnie mawiają, „Dodek“ (scil. Adolf) „znowu wyprawia brewerje“. A więc na zamknięcie ostatnie wspomnienie, gdy mnie słusznie od bardzo młodych potraktowano, a to ni mniej ni więcej tylko na tle ideowych podstaw tej gigantycznej walki światów, która się właśnie teraz toczy.

Gdy powróciłem w pielesze uniwersytetu Jana Kazimierza, pierwszym moim większym referatem w seminarjum niezapomnianego prof. Finkla była ocena tej książki, która stoi u podstaw obecnej walki poglądów na świat, t. j. H. S. Chamberlaina „Die Grundlagen des XIX. Jahrhunderts“. Wszystkie bowiem tezy, z któremi do walki ze światem stanął Hitler, zaczerpnięte zostały z Chamberlaina, a więc rasizm, aryjskość, nordycyzm, obowiązek walki z żydostwem, tytuły niemieckie do hegemonji europejskiej i ostateczna rozprawa z Anglją! Jest to zresztą fakt notorycznie znany i uznawany przez narodowych socjalistów z Hitlerem naczele, gdyż w gruncie rzeczy dn. 3 września 1939 r. wypowiedział Neville Chamberlain imieniem świata anglosaskiego wojnę temu wszystkiemu co wymyślił Houston Chamberlain, a tylko zastosował Hitler.

Książka Chamberlaina jest popisem niesłychanie zdolnego, błyskotliwego, a nieskoordynowanego i bezkrytycznego dyletanta, pozującego na uczoność. Dobrałem się do niej wówczas w r. 1907, z całym zapałem obalając punkt za punktem te wszystkie niedokładności i jednostronności, łącznie z zagadnieniem apokryfów Nowego Testamentu, Porfirjuszem, chamberlainowskiemi pomysłami pochodzenia Chrystusa Pana i t. d. i t. d. W sumie z całą dostępną mi podówczas erudycją i powodzią cytat obdarłem — jak to się mówi — Chamberlaina ze skóry, wykazując już wówczas niedopuszczalność łączenia platformy biologicznej z filologiczną, jednostronność argumentacji szczegółami, bez uwzględniania rzeczy podstawowych i t. d. i t. d. Naładowany uczonością referat ciągnął się przez dwa posiedzenia, wywołał dyskusję, ale wszyscy oczywiście czekali co powie profesor na to generalne zdruzgotanie chamberlainowskich wywodów.

Finkel nie był orłem pomysłowości i oryginalnej twórczości, ale był uczonym o nieprzebranej erudycji i ogromnem doświadczeniu naukowem człowieka w pełni wyrobionego. Słuchał referatu z całem skupieniem, a potem rozpoczął — ciągnąc jak zwykle przez nos — ocenę mego „zdruzgotania“ Chamberlaina. Pamiętam dokładnie te słowa, choć faktycznie wtenczas nie przypuszczałem, że są to wstępne fazy debat, ideologicznych które kiedyś rozerwą świat. Kwintesencja oceny była mniej więcej taka: „Pan Górka dał bardzo dobry referat, p. Górka jest bardzo... (tu nastąpiła porcja komplementów), ale p. Górka jest bardzo, bardzo młody człowiek. Wydaje mu się, że rzeczy fałszywe muszą przebrzmieć bez echa i skutków, podczas gdy teorje fałszywe mają ogromną siłę atrakcyjną. Ja wbrew referentowi widzę w tej książce zarodki bardzo wielkich niebezpieczeństw, które mogą zaciążyć na umysłach ludzkich, i t.d. i t.d.“. Ciągnął długo jeszcze prof. Finkel swój wykład o książce Chamberlaina. Nic dziwnego, że potem po latach przeszło dwudziestu przychodziły mi jego krytyczne słowa z powrotem na myśl, zarówno jako dowód, że nie wystarczy wiele czytać i myśleć ale że trzeba jeszcze być człowiekiem dojrzałym, jak też ze względu na tę tragiczną prawdę ludzkości, że poglądy fałszywe mają ogromną siłę atrakcyjności.

Oxenstierna uważał, że do powodzenia trzeba przedewszystkiem rozumu. Hitler wypłynął na zrozumieniu chwytnych haseł i wyzyskaniu niemieckiego talentu organizacyjnego, tymczasem bieżące życie Londynu uczy mnie jeszcze teraz, a coraz bardziej, że do zwycięstwa potrzeba przedewszystkiem charakteru jednostek i charakteru masy, t.j. tego co obserwuję w tym angielskim narodzie, do którego chciałbym widzieć upodobniony — mój własny.

Imponuje mi charakter Anglików, przepadam za francuskim „esprit“, uznaję tylko metodyczność organizacyjną i naukową Niemców, a słucham najchętniej — „bel canto“! Serce jednak własne bije najsilniej tylko na słowo Polak, tylko na objaw uznania dla Polaków, tych samych, których krytykować musimy i powinniśmy. Dziś właśnie biło mi serce silniej, dumniej, przy wyczuciu respektu a nawet entuzjazmu, jaki właśnie w tym najdumniejszym narodzie angielskim budzą słowa „Polish people“, „Polish pilots“, „Polish army“. Sam widziałem, jak otwierało się przede mną w serdecznych słowach i uściskach grono nieznanego mi przed chwilą, a skądinąd tak opanowanego angielskiego zespołu, gdy tylko się dowiedzieli, że jestem polskim oficerem, że byłem nim w tej wojnie. Przeżyłem dla odmiany tu w Anglji ten odruch uczucia dumy, tak jak ongi kiedyś przed wielką wojną, gdy jako „poddany austrjacki“ zaawanturowałem się z tureckimi żandarmami do Arabji północnej. Spotkałem tam wówczas szeika, który wprawdzie nie wiedział, co to jest „Nemza“, czyli Austrja, ale powitał mię z respektem jako pochodzącego „z dzielnego pokolenia Lihów“.

Jesteśmy narodem wielu, wielu wad, ale również dziwnego wdzięku żołnierzy-awanturników, wdzięku, może właśnie wypływającego z tych wad. Jest w nas pozatem przy tych wadach coś takiego, na czem najsilniejsi zęby połamać muszą, jakaś niezłomna ciągłość, która wszystko przetrzyma. Niedawno w Paryżu meldował się mój niespełna 18-letni bratanek, który na własną rękę przebijał się z tychże Zazul aby dobić do podchorążówki w Coëtquidan, a potem dostać się pod Narvik. Zapytał stryja z odcieniem niepewności, czy dobrze zrobił, że porzucił rodzinę i wszystkich aby bić się tutaj za Polskę. Odburknąłem mu tylko, że w innym wypadku nie byłbym go wogóle znał, przy całem mem dla niego uczuciu, skoro nie jest ani ranny ani w niewoli. „Poto przecież przyszedłeś na ten Boży świat!“. Teraz, tam gdzieś daleko w Polsce, śpi mój dziś właśnie trzyletni wnuczek Krzyś. Wiem jednak już dziś, że gdy mnie nie będzie na tym Bożym świecie, w przyszłej polskiej „potrzebie“ postąpi tak jak jego ojciec, niedawno ciężko ranny dla Polski, i jak my wszyscy.

Dla niego też te słowa o mej młodości napisałem. Podobno są to słowa „wspomnień młodości“, przeznaczone do druku, a może tak naprawdę tylko długi, długi list, który kiedyś jakoś gdzieś dojdzie do miejsca przeznaczenia, zamiast tylu tylu listów — które nie doszły.

OLGIERD GÓRKA.

STEFANJA SZURLEJ-KOSSOWSKA

UCIECZKA

Ostatniej nocy śniła mu się Warszawa. Sen nie miał wyraźnych konturów i polegał jedynie na świadomości przebywania w tem mieście. Czasem tylko z mglistych zarysów wyłaniał się niezwykle wyraźny fragment jakiejś ulicy, sklep codzień mijany, znajomy kolor nieba.

W mgle jesiennego wieczoru znalazł się nagle na placu Napoleona, gmach poczty ciemniał zboku, lśniły różowo kałuże, rozdzierane sykiem mokrych opon, mrok gęstniał i cichł na skwerku pod drzewami. A potem naraz, bez żadnego przejścia, doleciał go dźwięk orkiestry z ogródka w Alejach i w twarz uderzył mu ciepły powiew letniego wieczoru.

Wśród obcego tłumu zjawiała się znajoma twarz i nikła tak szybko, że nie próbował nawet jej gonić, czyjś uśmiech zabłysł i zgasł, zanim zdołał sobie przypomnieć kto go nim obdarzył.

Potem u wylotu długiej ulicy złomy chmur zapłonęły blaskiem zachodu i powiały przejmującą grozą powrotów do domu za dni dzieciństwa, to znów z żółtego afisza krzyknęło nazwisko, które głosem muzyki wypełniało gorące wieczory młodości.

Przez długie chwile, przez godziny, których trwanie pragnął przedłużyć w nieskończoność, błądził w tym nieokreślonym a jedynym smaku i zapachu swojego miasta. I dziwił się swym niedawnym zmartwieniom — tak daleka i nieosiągalna wydawała mu się ta Warszawa, a tak proste i łatwe było znaleźć się tutaj.

Wtedy się obudził, ale nie odzyskał w pełni świadomości i nie mógł sobie przypomnieć gdzie jest. Jeszcze pełen był szczęścia o słodkim posmaku smutku, a już rzeczywistość twardo wciskała się w miejsce snu.

Chciał się bronić, usiłował zasnąć z powrotem i wrócić do przerwanego marzenia. Lecz ten wysiłek otrzeźwił go zupełnie.

Spojrzał na zegarek — była dopiero trzecia. Nie mógł już zasnąć tej nocy. Leżał z otwartemi oczami, zupełnie rozbity i tak słaby, jakby ostatni sen pozbawił go wszystkich sił. Z tem większą rozpaczą uczuł, iż zbliża się znowu fala dręczących go od tylu tygodni wątpliwości i wahań. Myślał, że już dziś, ostatniej nocy, jest wolny. Tymczasem zrozumiał, że za chwilę będzie osaczony i że znowu musi walczyć. Wiedział, że nie zmieni decyzji, że się nie może cofnąć, i okrutna mu się wydała niepotrzebność walki, o której wiedział jak się skończy, a którą musiał mimo to podjąć.

Było mu zimno, trząsł się cały. Nagłą grozą przejęła go myśl, że może się rozchorować i że ta bezsensowna, mechaniczna przeszkoda przekreśli wszystko co było z takim trudem budowane. A jednocześnie ukradkiem gdzieś obudziła się myśl, tająca ulgę, że możeby było dobrze, gdyby sam los pomieszał ludzkie decyzje.

I tak znalazł się znowu w samym ogniu walki.

Zaczęło się to od chwili przekroczenia granicy. Przedtem, w zbiorowym zamęcie nieszczęścia, nie miał czasu na myśli o własnej osobie. Dopiero gdy wrześniowego popołudnia zostawił za sobą sady huculskie, stojące w czerwonych jabłkach jak w ogniu, gdy odwrócił się od wzgórz łagodnych, na których kładło się słońce, gdy odgrodził się gniewną rzeką od swojego kraju, wtenczas nagle pojął ze złowrogą jasnością, że oto ten pozorny koniec ucieczki staje się jej początkiem. Zrozumiał, że niema miejsca na ziemi gdzie mógłby się zatrzymać i spocząć, zrozumiał że już nigdzie nie ujdzie przed sobą.

Zmieniał miejsca pobytu, przerzucał się z kraju do kraju, nie rozumiejąc właściwie poco to robi, nie mogąc odnaleźć w sobie żadnej decyzji, starając się tylko nie myśleć. Decyzje cudze, dziejące się poza nim, rozstrzygały o jego losie. Robił co robili inni. To poddanie się prądowi było najłatwiejszem rozwiązaniem, gdyż oparcie się na zbiorowej decyzji dawało złudzenie słuszności postępowania.

Gdy znalazł się we Francji, zgłosił się do wojska. Lecz go nie przyjęto. Zdrowie, które nie pozwoliło mu służyć w wojsku w kraju, i tutaj przeszkodziło mu w uzyskaniu jedynej możliwości istnienia.

I zaczęły się złe dni paryskie.

Jakże inne wydało mu się dzisiaj to miasto tak kiedyś dobrze znane i tak bliskie sercu. Zawsze sądził, że Francja jest krajem, w którym łatwo żyć nawet nieszczęśliwym, i wydawało mu się, że pobyt w Paryżu zdołałby zdjąć z niego ciężar każdego cierpienia, któreby go mogło w życiu spotkać. Teraz ze zdziwieniem spostrzegł, iż się mylił. Na każdym kroku odnajdywał obcy Paryż. I nie wiedział czy to wojna tak odmieniła to miasto, czy tylko on patrzył na nie innemi oczami.

Zresztą niewiele zajmował się zewnętrznym światem, i tylko czasami jakiś szczegół przedostawał się do jego świadomości. Istniał niejako na marginesie życia, myślami własnemi odgrodzony od codziennej rzeczywistości.

Większą część dnia miał wolną, gdyż nie znalazł zastosowania dla swych umiejętności i nie miał żadnej stałej pracy. Od czasu do czasu otrzymywał jakieś zamówienia, robił rysunki, ilustracje, kreślił mapy. Wystarczało mu to na jego skromne potrzeby. Zresztą bieda, po ciężkiej młodości jaką miał za sobą, nie była dla niego trudna, i umiał się do niej dostosować.

Bardziej dokuczliwe było uczucie zupełnej jałowości i niezdolność do jakiegokolwiek twórczego wysiłku. Nie miał czem zapełnić pustych dni, i czas wydłużał się w nieskończone godziny, otwarte dla myśli. Czyhały one na niego wszędzie, zjadliwe, złe, bezlitosne, czaiły się zdradziecko w obojętnych przedmiotach, w przypadkowo usłyszanych słowach, każdej chwili gotowe wyskoczyć z ukrycia. Wystarczyło usłyszeć „Warszawa", by rozjątrzyło się natychmiast nieustanne, nieukojone cierpienie.

„Jak mogłem, jak mogłem wyjechać?" — pytał się siebie z rozpaczą po raz setny, tysiączny, niezliczony. Nienawidził siebie za tę decyzję, której nigdy nie powziął, która się stała obok jego woli. Tak był na siebie zawzięty, że nieraz złą, cierpką radość sprawiała mu własna udręka.

O ileż łatwiej byłoby znieść obecne życie, gdyby to co zrobił stało się było wbrew niemu, czyimś rozkazem, wobec którego gasła własna wola. W chwilach, gdy cierpienie stawało się już trudne do zniesienia, szukał ratunku w przypomnieniu, że przecież mu kazano, że wyszedł razem z innymi, którzy na wezwanie opuszczali płonące miasto. Ale w swojem sumieniu wiedział, że to nie jest prawda. Wiedział, że mógł był zostać jak tylu innych i że rozkaz, którego usłuchał, był tylko pretekstem dla własnego pragnienia. Teraz, z zimnem okrucieństwem, powtarzał sobie: że uciekł, że stchórzył, że zdradził.

Fakt, że istniało coś, — wezwanie, zbrodniczo rzucone przez radjo, — co go formalnie usprawiedliwiało, co go chroniło od cudzych zarzutów, nie sprawiał ulgi. Gdyby go oskarżano, z zaciekłością szukałby argumentów na własną obronę i możeby niemi i siebie przekonał o słuszności własnego postępowania. Lecz nikt go nie oskarżał. I nie napotykając na żaden opór, nie umiał w próżni budować własnej obrony.

Nie próbował nawet tego robić, nie chciał. Przeciwnie, oskarżał się surowo, bezlitośnie, w tem samoudręczeniu szukając pokuty. Bał się wtedy, już nie krył tego dłużej przed sobą. Przypominał sobie swój strach, obnażał go, rozkładał na części, brutalnie stawiał sobie przed oczy. Bał się, bał się o siebie, o żonę, kurczył się na świst bomb, lecących nad głową, grozą osaczały go płomienie palących się domów, martwiał na widok trupów i krwi.

I ze złem, mściwem zadowoleniem przypominał sobie teraz moment tajonej nawet przed sobą ulgi, który przeżył, gdy wydostali się wreszcie wraz z żoną z zatoru samochodów, ze zbitego tłumu ludzkiego, na boczną drogę, prowadzącą do znajomego dworu. Ach jakże się musiał bać, jeśli odczuł taką radość na widok czystego, bezpiecznego nieba i taki spokój, słysząc skrzyp wysokopiennych sosen, które przeginał wiatr.

Dziś dałby każdą cenę by wrócić do tamtego przerażenia, by je tam przeżyć, przetrwać. Przyzywał z powrotem, ze zrozumieniem, które przyszło za późno, ostrą i krótką grozę, śmierci, by go uwolniła od długotrwałej męki. Lecz już nie było ani wyboru ani powrotu.

Nieraz, błądząc pustemi, ciemnemi ulicami wojennego Paryża, przeżywał wszystko od początku, inaczej. Widział się mądrym doświadczeniem późniejszych dni i silnym na miarę wykazanej słabości. Zostawał na miejscu, bronił do końca Warszawy, dzielił bohaterstwo z innymi. Ale tu obraz się urywał i pozostawał niewiadomy dalszy los, tak jak niewiadomy był dzisiaj.

„Może byłbym zginął?" — rozważał, i przy tej myśli ogarniał go gwałtowny żal, że ominęła go śmierć, która jednym, piorunującym ciosem mogła przemienić gorzką pustkę dzisiejszego życia we wzniosłą, najdoskonalszą ofiarę. Wydawało mu się, że w tej ofierze był jedyny sens istnienia, że poza nią był tylko egoizm i bezużyteczność i w nienawiści do własnego życia, które instynktem jakby nic z nim samym nie mającym wspólnego, chroniło się od niebezpieczeństw, wymawiał sobie, wypominał: „Powinienem był zginąć".

Wtedy nieśmiało zjawiała się myśl, mamiąca obietnicą spokoju: „A może musiałem wyjechać, ocaleć, może tak się miało stać, abym mógł dokonać czegoś przeznaczonego mi gdzieindziej?".

Przez chwilę zwracał się ku tej myśli, która decyzją przeznaczenia zwalniała go z wszelkiej winy, spoczywał na niej jak na fali łagodnej, unoszącej go nad odmętem rozpaczy, oddawał się jej z tem większą zapamiętałością, iż wiedział, że ją musi za chwilę porzucić. To była kłamliwa i krucha pociecha, a on chciał być bezlitośnie szczery wobec siebie.

Miał jasną świadomość, że ta kojąca myśl o jakiejś roli do spełnienia jest właściwa ludziom słabym, którzy skłonni są do działania wtedy, gdy niema ku temu możliwości i warunków, gdy okoliczności nie wymagają aktu woli, tylko gotowość myśli. Jakież zadanie mogło go czekać, skoro nie zdał egzaminu wówczas, gdy tyle było do zrobienia, skoro wtedy się cofnął. Nie było żadnej pewności, że terazby sprostał, gdyby stanął przez nową próbą.

W wieczornych wędrówkach po mieście otwierało się nad nim szerokie, nieprzeniknione niebo Paryża. Na milczącym, ogromnym placu przed Luwrem panowała głęboka ciemność, i w tem pustkowiu samotności i mroku można było głośno jęknąć i nie wstydzić się łez. „Jak mogłem, jak mogłem wyjechać!" — wołał w niepojętem, za każdym razem świeżem zdumieniu, które go ogarniało zawsze, ilekroć przechodził z drobiazgowych rozważań, rozkładających żywe cierpienie na chłodne myśli, do nowego wybuchu rozpaczy.

Dziwiąc się temu co zrobił, wiedział jednocześnie, że nic się nie zmienił, że mimo wstrząsu, jaki przeżył wraz z otaczającym go światem, pozostał tym samym człowiekiem. Gorzka była świadomość, że nieszczęście, którego rozmiaru nie można było nawet objąć, nieszczęście własne, narodu, miljonów ludzi, połowy świata, nieszczęście, zakrojone na nadludzką miarę, nie zdołało obudzić w nim żadnego nowego, twardego dźwięku, zwolnić ze słabości, przepalić, przetworzyć. Dotychczas, w ogniu buntów, zapiekłych przypomnień, postanowień, szamotań, można było dojrzeć cień energji, odblask życia, usiłującego odnaleźć swój dalszy sens, lecz chwila dojścia do tej świadomości stała się jak gdyby zamknięciem wszelkich dróg ocalenia. Tu rodziła się gorycz niepotrzebności, stąd sączył śmiertelny smutek beznadziei.

Odwieczne, rabujące resztki woli pytania o celowości wszystkiego, o sensie, wyskakiwały z ciemności, otaczały ze wszystkich stron. Wybiegał w tych chwilach daleko za siebie, dotykał obcych serc, miażdżonych jednakiem ludzkiem cierpieniem, ogarniał pytającą niewiedzą całą ludzkość, badał losy świata. I widział próżny wysiłek, niepotrzebną ofiarę, zmarnowany trud, wiarę która okazywała się złudzeniem. „Po co to wszystko, poco?" — pytał ogarnięty tępym, leniwym smutkiem, który odbierał ostatek energji i wszelkiej ochoty.

Czasem, na męczące pytania spadała prosta w zrozumienia serca, choć nieobjęta dokładnie umysłem, odpowiedź, jak owego wieczoru, gdy z ciemności miasta wynurzyła się przed nim nagle białopiennym lasem kolumnada kościoła Madeleine. Odczuł to tak jak gdyby strumień czysty i rzeźwiący spłynął nagle wprost w spiekłe usta. Oparty na słupach strzelistych, jaśniejących brzozowym blaskiem, doznawał skwapliwej ulgi człowieka, który w radosnym powrocie do zdrowia czuje jeszcze smak niedawnego cierpienia. Patrząc w górę, gdzie niewidoczny w mroku krzyż znaczył trójkątne, pogańskie czoło świątyni, dziwił się, iż odpowiedź była tak łatwa i bliska. Odchodził stąd uciszony, choć nieprzekonany do życia.

Lecz pierwsze zetknięcie z rzeczywistością wyzwalało nurt niepokoju, burzący się pod kruchą powierzchnią chwilowej rezygnacji. Byle jaki obraz otwierał nowe przestrzenie udręki. We śnie lub w chwilach do snu zbliżonych wyłaniały się z cienia widma i patrzyły milcząco, lecz oczy ich pełne były ciągłego zdumienia i grozy; patrzyły zza obwarowań obozów, zza krat więzień, spod murów, na które za chwilę chluśnie czarna plama krwi; patrzyły ze stłoczonych bydlęcych wagonów, które przemierzają niekończący się szlak od płowych równin poznańskich po jałowy step Kazakstanu; patrzyły z roztrzaskanych domów, z ruin zetlałych, patrzyły z dna głodu, upokorzenia, rozpaczy.

Nie mógł znieść wyrzutu tych milczących twarzy, które się nie skarżyły, nie żądały niczego, tylko swem cierpliwem, nieugiętem istnieniem mówiły o wartości spraw cenniejszych od życia. Czuł nieważność własnego cierpienia wobec tamtej niezmierzonej męki, i rozpalało go jedno wielkie pragnienie, by w jakiś sposób wyrównać przepaść jaka go od nich dzieli, dodać sobie ciężaru i zbliżyć się do nich, doróść.

Zrywał się gwałtownie z łóżka, bo paliła go wygoda posłania, w gorączce postanawiał pokuty, umartwienia, obiecywał odmówić sobie wszystkiego co wykracza poza konieczność.

Lecz światło dnia nie znosi patetycznych postanowień nocy, które brzmią fałszywie w sąsiedztwie drobnych, codziennych spraw. To co nocą wydawało się naturalne i konieczne, teraz raziło pretensjonalną nieużytecznością i zbędnością. Kilka razy, mimo wszystko, nie czując już wewnętrznej potrzeby, próbował na zimno przeprowadzić swe postanowienie. Lecz zawsze coś mu w tem przeszkodziło, jak gdyby wykonanie napotykało na jakiś nienazwany opór.

Zdarzało się jednak, że nieraz, gdy siedział naprzykład w bistrze nad kieliszkiem wina, nagle smak wonny i rzeźwy zamieniał się w gorycz, w piołun palący wargi, język, gardło. Zostawiał niedopity kieliszek i wybiegał nieprzytomnie na ulicę, osaczony tłumem widm, koszmarem wyrzutów sumienia. Uciekał, krył się, nie mógł znieść szerokich ulic, otwartego nieba, ludzi, chciał jak najprędzej być sam, w zamknięciu ubogich ścian swego pokoju. Zbiegał do metra, i widok pędzącego pociągu dawał mu moment ulgi, jaką przeczuwał w błyskawicznej śmierci. Ile razy widział zbliżającą się ze straszliwą, utajoną siłą masę żelaza, zawsze, za każdym razem przebiegała mu przez głowę, jak iskra, myśl że tak łatwo możnaby skończyć ze wszystkiem. Czuł niemal zmysłową radość w tej myśli, która darzyła obietnicą nagłego i już niewzruszonego spokoju, a jednocześnie widział przepaść nieprzebytą pomiędzy tem pragnieniem a możliwością jego realizacji. Gardził sobą za to, że nie umiałby się zdecydować na dobrowolną śmierć, lecz niejasno, jakby obok tego, czuł coś w rodzaju wdzięczności dla tej strony własnej natury, która nieprzezwyciężonym oporem stawała wpoprzek urzekającym marzeniom o ostatecznym odpoczynku.

Mijały miesiące, i czuł, że lada chwila zatonie w szaleństwie. Groza nocy wciągała go coraz głębiej, dni przywalały kamiennym ciężarem. Ostatnim błyskiem przytomności zaczął szukać ratunku.

Wtedy właśnie z czyichś ust padła propozycja. Uznał to za znak Boży i ogarnięty żarliwą, obejmującą go jak płomień gotowością, zgodził się natychmiast, bez namysłu, by złożonem słowem odciąć sobie drogę odwrotu. Dopiero potem, w tym zamkniętym bez wyjścia kręgu powziętej decyzji, rozpoczęły się i trwały przez cały czas przygotowań długie, pełne męki rozważania, wątpliwości, wahania. Nie opuszczały go ani na chwilę i tej ostatniej przed wyjazdem nocy rzuciły się na niego z furją ostatecznego, decydującego ataku.

Godziny nocy przemieniały się w godziny świtu, zbliżało się ostatnie rano, a on, zadręczony walką, leżał, wpatrzony w blednące okno, i czuł w sobie chłód klęski.

Widział z rozpaczą, że zadanie, które go czeka, przerasta jego siły. W obliczu tego co mu zostało powierzone, gasła jego energja, odpływały wszystkie siły jak uchodząca krew, pozostawiając go niemal martwym z słabości. Wydawało mu się, że nie potrafi zrobić jednego kroku, ruszyć ręką, że nie zdoła przemóc siebie i zmusić do jakiegoś działania. Im wyraźniej stawała przed nim wielkość sprawy, którą wziął na siebie, tem większa ogarniała go niemoc, tem bardziej wzmagał się brak zaufania do siebie. W chwili, gdy powinien się był zdobyć na największe napięcie energji, wciągał go coraz głębiej kamienny bezwład.

Więc zjawiało się pytanie, czy wobec tego nie należy się cofnąć. Zamierał na samą myśl, że mógłby to zrobić, lecz myśl wabiła zdradziecko, ukazując różne wyjścia z sytuacji. Zjawiały się przed nim zwodnicze, uwodzicielskie, lecz odwracał się, by ich nie widzieć, gardził sobą, że je tak blisko do siebie dopuścił, i odchodził od nich szybko, dławiąc się wstydem możliwego odstępstwa.

Lecz choć odrzucił od siebie zdradliwe pokusy, nie opuszczała go słabość. Tylko że teraz, gdy zamknął ostatecznie przed sobą drogę ponownej ucieczki, opuścił go towarzyszący słabości niepokój. Teraz, gdy był pewny tego że się nie cofnie, chciał tylko wiedzieć, chciał w sobie rozstrzygnąć, czy postępuje słusznie. Nie mógł wyruszać w daleką drogę w zamęcie wewnętrznym, chciał jasno ustalić sprawy swojego sumienia.

Trzeba było rozstrzygnąć gdzie leżał sens wszelkich rzeczy: czy w tem co się dokona w człowieku, czy w tem co on swem działaniem w świecie osiągnie; czy ważniejsze są czyny, czy wewnętrzne zwycięstwa.

„Czy mam prawo podjąć się sprawy wielkiej, wiedząc, nie, czując raczej, że jej nie sprostam? A może nie chodzi o to co zrobię, tylko że pójdę wbrew własnej słabości?".

Dzień przedwiośnia, blady dzień paryski, który szarym blaskiem rozświetlił okno, nie przyniósł odpowiedzi na żadne z pytań. Zresztą nie było już czasu na rozmyślania, tylko kilka godzin zostało do wyjazdu.

Żegnał się z Paryżem, idąc pustemi jeszcze ulicami po ostatnie polecenia. Marcowe niebo, niechętne słońcu, kryło się za chmury, chłód wydymał wielkie podmuchy wiatru, tylko czasem w rozwianem powietrzu przemknęła cieplejsza smuga, dotykając twarzy oddechem wiosny. Bez żalu zostawiał za sobą znajome ulice. To był zły Paryż, i rad był, że go porzuca. Przeżył tu swe najczarniejsze dni, i wszelka zmiana była lepsza od przeszłości. Zresztą bliskość wyjazdu a także upajający rozpędem wiatru, rzeźwy poranek wprawił go w takie podniecenie, że zapomniał na chwilę o wszystkiem co go tak niedawno dręczyło.

W gorączce niemal żegnał się z odprowadzającemi go osobami i dopiero gdy znalazł się sam w wagonie, gdy zaczął mijać coraz liczniejsze stacje, gdy potem przemierzał kraje, przez które parę miesięcy temu jechał w odwrotnym kierunku, wówczas nanowo zaczęły go napastować znajome myśli. Najgorzej było ilekroć znalazł się w normalnych warunkach — w znajomem sprzed wojny, beztroskiem mieście, wyzywająco błyszczącem światłami, w zacisznym pokoju hotelowym, przy stole w restauracji. Wtedy, w tej złudzie dawnego życia, świadomość rzeczywistości i własnej w niej roli napełniała go nowem, gwałtownem zniechęceniem o posmaku goryczy. I znowu musiał, z jakże słabemi siłami, stawać do walki z sobą.

Lecz wszystkie niepokoje mijały, gdy gdzieś niedaleko zjawiał się cień niebezpieczeństwa. Dlatego też im bliżej był celu, tem rzadziej odzywały się w nim wewnętrzne głosy rozterki, tem bardziej zato skupiał się i krzepł.

Aż wreszcie przyszła chwila ostateczna. Już tylko kilka kilometrów dzieliło go od granicy.

I właśnie w tym momencie, którego oczekiwał w straszliwem napięciu i przerażeniu, ze zdumieniem odnalazł w sobie nagły, najdoskonalszy spokój. Ustały wszelkie wahania; wola, tak niedawno rozłamana w tysiącznych wątpliwościach, ścięła się w twarde skupienie. Czuł się wewnętrznie jednolity, bez najlżejszej rysy, cały skierowany na działanie.

Dopiero teraz, gdy obracał się w przeszłość i widział swe niedawne rozterki, zrozumiał podstępność wyobraźni, która rozkładając jedną chwilę, jedno przeżycie na rozliczne momenty, powiela niebezpieczeństwo i trudności zamierzenia. O ileż łatwiej i prościej było przeżywać tę chwilę, niż zbliżać się do niej myślą.

Była wczesna noc gdy ruszył w drogę z przewodnikiem. Szli bocznemi drogami, zanurzali się w las, wznosili w górę i opadali w doliny, przemykali się brzegiem polan, jasnych od szerokich płatów śniegu. Milczeli.

Przedwiośnie ciągnęło wilgocią od rozmiękłej ziemi, szczytami drzew szedł wiatr. Gwiazdy chmurą zamgloną i migotliwą wznosiły się wysoko, zasłaniając niebo.

Przewodnik stanął. Tu był już kres. Dalszą drogę trzeba było odbywać samemu.

— Teraz będzie wielki głaz, trzeba w prawo, pod górę, strumień naboku zostawić, wciąż na prawo, aż do małej polanki. I już jesteście.

Szedł, pilnując znaków, skupiony, z zaciśniętemi do bólu szczękami, z sercem rozbijającem piersi.

Zboku zaszumiała wezbrana woda, uciekła, ucichła. I naraz otworzyła się polana

Wtedy przestał cokolwiek rozumieć, przestał o wszystkiem pamiętać, prócz tego jednego, że jest tutaj, że wrócił.

Gwiazdy wędrowały po niebie, przesuwały po perłowym różańcu godziny nocy, drzewa szumiały głucho, las odzywał się głosami mroku. O niczem nie wiedział.

Czuł ziemię przy sobie, w sobie, czuł jej dotknięcie na oczach, na ustach, na czole, miał pełne jej ręce, i nie wiedział czy klęczy, czy upadł w nią twarzą, czy też ona podniosła się i ogarnęła go ciepłem, brunatnem objęciem. Serce ludzkie nie mogło sprostać temu szczęściu, więc ziemia wchłaniała w siebie to co było nad miarę.

Cała męka minionych miesięcy spłynęła w tej chwili w jedną małą kroplę goryczy, którą rozmiótł wiatr. Nic nie istniało prócz tej nadludzkiej radości powrotu.

Nie odrywając głowy od rozmiękłej ziemi, dziękował za wszystko co przeżył, bo to doprowadziło go tutaj, pozwoliło mu przełamać słabość, zwyciężyć siebie, odkupić winę ucieczki. I jasną mu się stała prawda, której szukał dawniej w udręczeniu, że najważniejsze jest to co się odbywa w człowieku. Zdarzenia, czyny mijają, przechodzą do innych rąk, przesypują się w proch, a wagę w wieczności mają tylko zwycięstwa duszy.

Potem się podniósł, aby ruszyć dalej. Wynurzył się z cienia i ukosem przeciął polanę świecącą w blasku gwiazd. Przed sobą miał znowu las.

I wtedy ciszę nocy przebił krótki, tępy odgłos, przedłużony echem. Powtórzył się. Kilka razy. Kilkanaście.

Drzewa były blisko. Skoczył w nie, uderzył się mocno w bok, aż brakło mu tchu, lecz biegł dalej. Po chwili strzały ucichły, nie słychać było żadnych kroków, i znowu ogarnęła go leśna cisza.

Przystanął zmęczony tak jak nie był nigdy w życiu, oparł się o drzewo i dotknął ręką bolącego boku. Palce, dłoń zalała mu ciepła krew. Wtedy szarpnął nim zwierzęcy strach, który mdłościami buchnął wprost z omdlałego serca przez gardło. Przygiął się do ziemi, w głowie huczał mu zamęt.

I naraz, wraz ze wzmagającym się bólem, strach ustał równie gwałtownie, jak spadł.

Czuł ogarniającą go coraz większą słabość, a z nią razem nadciągały myśli łagodne i kojące, że szczęściem jest umierać w chwili, gdy się spełniło swoje przeznaczenie, gdy się jest najgodniej przygotowanym na śmierć.

Osunął się na ziemię i odpoczywał po wszystkich trudach, jakie miał za sobą. To co było dotychczas ważne, zaczęło powoli od niego odchodzić, mglić się, rozwiewać.

Zostały tylko najprostsze prawdy. Jest Bóg, zakryty niebem gwiaździstem, jest ziemia własna, na której stawiał swój pierwszy krok i i która go życiu odbierze, ziemia, śmiercią z niebem spięta. A w środku tej drogi jest własne serce, ogarnięte miłością, nieprzeczuwaną nigdy, i wypełnione spokojem, jakiego nie zna życie.

Cisza koło niego robiła się coraz większa. Pod ręką, błądzącą po ziemi, czuł chłodną trawę, między palce wsuwały mu się jakieś cienkie łodyżki, gałązki kruche, łamliwe liście, opadłe jesienią. Był coraz bardziej zmęczony i senny. Ale nie chciał usnąć, męczyło go wciąż uczucie, że czegoś jeszcze zapomniał, że czegoś zaniedbał. Podniósł z wysiłkiem powieki i w górze, w obramowaniu cienkiego rysunku liści, ujrzał płat nieba, ciężkiego od gwiazd. Poznał to niebo, te gwiazdy, wiszące nisko nad podwórzem warszawskiem, gdy ostatniej nocy, czuwając nad spokojem śpiącego domu, chodzili z żoną tam i z powrotem, bez końca, bez przerwy, jakby w przeczuciu, że to ich wspólna noc ostatnia.

Żona. Zawołał ją głośno, i imię jej zabrzmiałe w ciemności, uderzyło w niego gwałtowną, drapieżną falą tęsknoty. „Musisz być przy mnie teraz, musisz" — błagał.

Zjawiła się natychmiast. Przybiegła szybko, zdyszana od biegu po schodach, po drodze rzucała torebkę, rękawiczki, kapelusz. Wołała powitanie od progu, jak zawsze, jak codzień. Uśmiechała się, mówiła słowa zwykłe, miłe, codzienne. Widział ją obok siebie tak znajomą i bliską, że czemś niepojętem i niemożliwem wydała się tak długa jej nieobecność.

Stała teraz na tle okna, w oknie biała tiulowa firanka poruszała się lekko, odsłaniając zaglądający z ulicy czub zielonego kasztana, wyżej było niebo letnie, bez chmur. Wokoło ściany znajome, znajome odgłosy domu.

„Ach, przecież zawsze umiera się w domu" — przypomniał sobie z ulgą, jak gdyby wiedział o tem oddawna.

Widział nad sobą pochyloną żonę, uśmiechała się pogodnie. Było mu dobrze, ogarniał go głęboką, ciepłą falą, sen. Przekręcił głowę i jak dziecko wtulił wygodnie policzek w chropawą ziemię, niby w miękkie posłanie.

W oknie wiała firanka na wietrze, falowała, unosiła się w górę, jak obłok biały, lekki, przejrzysty.

STEFANJA SZURLEJ - KOSSOWSKA.

SKŁADY APTECZNE • DROGERJE

PROSIMY wszystkich Polaków przebywających w Anglji aby zwracali się z zaufaniem osobiście lub drogą pocztową z receptami i z wszelkiemi zapotrzebowaniami farmaceutycznemi lub medycznemi do składów aptecznych:

John Bell & Croyden, 50/52, Wigmore Street, W.1
(służba dzienna i nocna)
Wm. Martindale, 75, New Cavendish Street, W.1
Wallas & Co., 45, New Cavendish Street, W.1

wszystkie pod ścisłą kontrolą
SAVORY & MOORE LIMITED
Aptekarzy Jego Królewskiej Mości
143, New Bond Street
LONDON W.1

BUTY POLOWE
DLA OFICERÓW POLSKICH

Z przyjemnością donosimy że mamy obecnie możność zaopatrzenia naszych klientów w dokładny fason polowych butów cholewkowych z prawdziwego boksu cielęcego (skóra najlepszego gatunku), ze sztywnemi pasami od tyłu, o wytwornej linji, którą oficerowie armji polskiej tak cenią.

CENA
£7 · 17 · 6

R. W. FORSYTH LTD
RENFIELD STREET GLASGOW
PRINCES STREET EDINBURGH

WAŻNE DLA RODACZEK!
Salon kostjumów, płaszczy, sukien i futer damskich
Prosimy o obejrzenie ostatnich nowości
J. ANTOINE, LTD.
(właściciel Jan Garbowski)
137, Knightsbridge, S.W.1, tel. KEN 0412

BARTLEY & SONS
przodujący w Londynie salon obuwia wojskowego i cywilnego, ręcznie szytego i na miarę
Nadworni dostawcy
493, OXFORD STREET, LONDON, W.1
(rok założenia 1810)

LA BELLE MEUNIÈRE
5, Charlotte St., W.1, tel. MUSeum 1134
poleca swoje specjalności regjonalne, wino rosé i burgunda
Kto raz nas odwiedził, ten stale wraca na śniadania i obiady

BRYLANTY ZDROŻAŁY O 50%
PŁACIMY NAJWYŻSZE CENY W LONDYNIE ZA BRYLANTY, ZŁOTO (168/- ZA UNCJĘ)
Biżuterje, klejnoty, kamienie szlachetne, srebro, platery, antyki i kosztowności wszelkiego rodzaju. Gotówka natychmiast. Rząd J. K. Mości przejmuje całe zakupywane przez nas złoto. Prosimy o odwiedzenie nas lub zgłoszenia przesyłkę poleconą.
LINDEN & CO., 85, New Bond Street, London, W.1
PIERWSZY SKLEP JUBILERSKI PRZY NEW BOND ST.

PRASA OSKARŻA DYPLOMACJĘ

„Wśród dziennikarzy w Genewie panowała znamienna zgodność opinji, i zazwyczaj mieli oni więcej racji niż dyplomaci. Dziennikarze nie zgadzali się bynajmniej z poglądami swoich pism i niemal wszyscy sprzeciwiali się kolejnym kapitulacjom Ligi oraz rządów Anglji i Francji... Rozwój wypadków wykazał, że gdyby zamiast polityków i dyplomatów dziennikarze reprezentowali swoje kraje, sprawy świata wyglądałyby o wiele lepiej aniżeli wyglądają dzisiaj“.

Temi słowy rozpoczyna Robert Dell, wieloletni sprawozdawca genewski „Manchester Guardian“, książkę wydaną po jego śmierci*). Każdy kto zawadził o Genewę i Ligę, musiał natknąć się na Roberta Della; nikt bardziej od niego nie był uprawniony do skreślenia dziejów wzlotów i upadku Ligi. Praca Della jest pracą człowieka odważnego, niezależnego — słowem, prawdziwego publicysty. Posiada on wspaniałą cechę brytyjską: mówienia własnemu społeczeństwu najbardziej przykrych prawd. Ma on cnotę tej prawdziwie wielkiej rasy: cnotę sprawiedliwości, objektywizmu; Dell przyznaje się do pomyłek, nie zataja swoich błędów oceny. Jest idealistą praktycznym, który wolałby wierzyć w zasadniczą dobroć rodzaju ludzkiego, ale wie, że niestety, obracamy się w dżungli. Nie poprzestaje na krytyce, na bezlitosnej analizie: wskazuje, jak możnaby naprawić błędy początkowe, grzechy pierworodne Ligi przy tworzeniu nowej instytucji tego rodzaju, albowiem Dell widzi w Lidze myśl nie tylko światłą, ale potrzebną, realną. Dell jest typowym Anglosasem, który nie zatrzymuje się na stwierdzeniu katastrofy, ale chciałby nauczyć się czegoś z nieszczęścia i spróbować drugi raz zrobić to mądrzej, celowiej, trwalej.

*

Zdanie Della, zacytowane na wstępie tego artykułu, mogłoby pochlebić sercu dziennikarzy i publicystów, gdyby nie to, że jest ono słuszne i zasłużone. Każdy, kto w ostatnich latach poruszał się w wielkich ośrodkach polityki europejskiej, mógł stwierdzić bez trudności, że dziennikarze i publicyści wiedzieli naogół więcej, szybciej i zapatrywali się na rzeczy trzeźwiej aniżeli dyplomacja. Ileż to razy w Berlinie słuchało się w gabinetach tej czy innej placówki usypiającej czujność dialektyki, która nie trzymała się rzeczywistości. Atmosfera nierealności panowała we wszystkich bodaj ministerstwach spraw zagranicznych Europy — atmosfera dnia wczorajszego; placówki dyplomatyczne, przedstawiciele dyplomatyczni państw poruszali się we mgle, przeważnie nie rozumiejąc otoczenia, wymowy rzeczy, nie chcąc rozumieć grozy faktów. Dyplomacja europejska — niestety, poza dyplomacją państw totalnych, która szybko została zreformowana — należała już nie do w. XIX, ale bodaj do w. XVIII. Mówiło się po francusku, pielęgnowało się tradycje miłe i powabne, które miały swój sens w dobie, gdy Europa była jednością kulturalną, a nie tragicznie rozpękniętym na obce sobie części światem. Dyplomaci bywali u siebie, jeździli do wybranych przez siebie miejscowości, otaczali się resztkami „ancien régime“'u, wierzyli w magję przyjęć, bankietów, „kontaktów“. Iluż to dyplomatów nie znało języka kraju, w którym byli akredytowani, iluż nie zdawało sobie sprawy z jego struktury społecznej, iluż nie orjentowało się w narodzie, wśród którego żyli. Było jakieś żałosne nieporozumienie w tej całej ceremonji umierającego świata, świata, który nie chciał widzieć prawdy, rzeczywistości, który zbywał ją grymasem, mówiącym: przesada, panikarstwo. Dyplomacja europejska nie zdała egzaminu: dowiodła, że jest zabytkiem feudalnym, który wymaga gwałtownie odmiany, wprowadzenia nowej krwi i energji.

*

Każdy z nas, publicystów, mógłby napisać niezły tom, wypełniony uciesznemi a zarazem smutnemi rozmowami z kołami dyplomatycznemi, sugestjami dawanemi przez placówki, przewidywaniami, które nie żyły nawet pięciu godzin. Gdy sobie przypomnieć dzisiaj trzy ostatnie lata przed wojną, — od zerwania Locarna, — wydaje się że istniał przedział pomiędzy przeczuciami skromnych dziennikarzy a dyplomacji. Pamiętam, jak w dobie pobytu w Berlinie otrzymywałem od kolegów dziennikarzy informacje, które mówiły niezbicie, że Rzesza zbroi się w sposób zastraszający, że wojna idzie wielkiemi krokami. W kołach dziennikarzy zagranicznych w Rzeszy, czy to w pracy naszej w Berlinie, czy na wyjazdach, szczególnie na groźnych widowiskach „Parteitag“ów — nie trzeba było marnować wielu słów: wiedzieliśmy, że lata pokoju są policzone. Pamiętam jak pod wrażeniem pierwszych miesięcy stałego pobytu w Rzeszy przyjechałem w grudniu 1935 r. do Polski i w czasie konferencji w redakcji „Ilustrowanego Kuryera Codziennego“, zapytany przez kolegów, co sądzę o szansach naszych w razie starcia z Rzeszą, odpowiedziałem: „Jeżeli nie dozbroimy się w sposób, który bodaj przekracza nasze możliwości, będzie to sprawa dwóch do trzech tygodni“.

Pamiętam, jak r. 1936 w czasie podejmowania prasy zagranicznej w Garmisch na olimpjadzie zimowej, siedząc na Zugspitze w gronie przemiłych kompanów prasy światowej, czuliśmy, że po drugiej stronie przepaści zacznie się katastrofa, która wywoła wojnę. Pamiętam, jak w lecie 1936 r. na stadjonie olimpijskim w Berlinie, gdy ze Skandynawami i Anglosasami zastanawialiśmy się po konkursie skoku o tyczce, gdzie odbędzie się olimpjada w r. 1940, ktoś powiedział z uśmiechem: „w r. 1940 nie będzie „Stabhochsprung“, będzie zato „Generalstabhochsprung“. Przypominam sobie jak zjawiwszy się w Berlinie z końcem lipca 1939 r., natknąłem się w jednej z kawiarń na polskiego dziennikarza, który nie zajmował się zawodowo polityką ale miał szeroko otwarte oczy. Był zgnębiony. Popatrzył na mnie i powiedział: „Mamy wojnę — to kwestja tygodni. Moi znajomi dziennikarze niemieccy ostrzegli mnie“.

Przypominam sobie nierealność Londynu i korytarzy „Foreign Office“u w jesieni 1937 r., gdy przybyłem z Berlina, w przekonaniu że katastrofa jest nieunikniona. Pamiętam te wszystkie mdłe enuncjacje, jakiemi nas raczono w czasie przyjęcia dla Daladiera i Bonneta w ambasadzie francuskiej na Knightsbridge, czy w czasie kryzysu czeskiego w jesieni 1938 r. Po każdem takiem przyjęciu wychodziliśmy w przeświadczeniu, że nas okłamują, że ludzie u steru polityki nie chcą widzieć rzeczywistości, że Zachód zatracił instynkt przeczucia, instynkt samoobrony — że ślepota wróży tylko najgorsze.

*

Nie wiem, czy dziennikarze istotnie robiliby lepiej politykę, jak myśli Dell, ale sądzę, że nie można jej było robić gorzej niż robiła to Europa przedwojennej dyplomacji starego obrządku. Praca Della jest oskarżeniem tak ciężkiem, tak przykrem, że nawet zahartowani licznemi oskarżeniami, przecieramy chwilami oczy i pytamy się: nie, czy to naprawdę tak było? Takiego upadku, takiego całkowitego załamania się wszelkich wiązań rozsądku, zdrowego sensu, przewidywania — nie znała chyba jeszcze dyplomacja Europy w swojem istnieniu. Książkę Della czyta się bez przesady ze ściśniętem sercem: opracowanie Sir Charles'a Petrie (por. nr. 49 „Wiadomości Polskich“), które stanowi krytykę nie mniej druzgocącą, jest utrzymane w stylu spokojnym, nieco bezosobowym, i przez to trawi się je łatwiej. Dell atakuje z pasją, Della bolą te wszystkie załamania, to narastanie głupoty. Jego książka dowodzi, że istotnie najciężej człowiekowi pogodzić się w tem życiu z — głupotą.

Zmarnowanie szans zwycięstwa — oto sens książki Della: zmarnowanie przez zaślepienie, skoro tak łatwo było wyzyskać te szanse. Zrobiono wszystko — powiada Dell — ażeby podeptać zwycięstwo, niszczono zdobycze z jakąś obłędną wolą, graniczącą z popędem samobójczym. Pomyłka szła za pomyłką i poganiała pomyłką; państwa, które powinny się były trzymać razem, podkopywały siebie i swoje siły. Europa powojenna, to dom warjatów, którzy postanowili podpalić własny przybytek.

*

„The Geneva Racket“ zawiera sporo myśli trafnych, dobrze ujętych, samodzielnych. Dell uważa, że nieszczęściem wojny światowej było załamanie się Austro-Węgier (do podobnego wniosku dochodzi Sir Charles Petrie). „Był to szczególnie błąd ze stanowiska Francji... Rozbicie Austrji przy pozostawieniu nietkniętej niemal Rzeszy sprawiało, iż Niemcy musiały nieuniknienie zostać nanowo wielką potęgą“. Dell cytuje zdanie czeskiego socjalisty Smerala; przed końcem wojny powiedział on otwarcie, iż rozpadnięcie się Austro-Węgier będzie katastrofą, za którą Europa zapłaci ciężko.

Dell nie oszczędza dyplomacji i polityki angielskiej. Broni nieraz Francji, wskazując że Anglja stale i metodycznie utrącała odruchy francuskie, nacechowane zdrowym rozsądkiem i równie zdrową obawą przed Rzeszą, zniechęcała Francję do wszelkiej energicznej akcji i coraz bardziej uzależniała politykę Paryża od Londynu. „Old school tie“ — powiada Dell — stanowiła przekleństwo polityki i dyplomacji brytyjskiej. „Duch „public school“ wraz z ideałem uczniaka: „fair play“, co oznacza „należy grać zgodnie z przepisami gry“, sprawił, iż Anglja traktowała politykę międzynarodową jako grę“. Od samego początku ery powersalskiej Anglja wkroczyła na fałszywy szlak: „Traktat pokojowy, za który dyplomacja angielska była w tak znacznym stopniu odpowiedzialna, przyniósł to czego Anglja starała się zawsze uniknąć (t.j. przewagę jednego państwa — Francji). Dlatego — polityka angielska postanowiła sobie, być może napółświadomie, postawić na nogi Rzeszę i w ten sposób przywrócić t.zw. równowagę sił... Sympatje ogółu angielskiego dla podeptanej Rzeszy były same w sobie objawem szlachetnych uczuć, ale skończyły się na tem, że Anglja stała się niesprawiedliwa dla Francji“.

Dell dochodzi do wniosku, że polityka Stresemanna była w wielkiej mierze maskaradą polityczną. Miała ona na celu „przywrócenie potęgi wojskowej Rzeszy“ przez zbałamucenie Francji; Dell sądzi, że szlak Stresemanna nie różniłby się bardzo od drogi obranej przez Hitlera.

Badając załamania Ligi, Dell dochodzi do wniosku, że upadek instytucji genewskiej rozpoczął się w lutym 1933 r., kiedy skapitulowano przed Japonją. „Zachęciło to Hitlera i Mussoliniego do naśladowania przykładu Japonji“: Dell nie waha się oskarżyć za tę kapitulację dyplomacji brytyjskiej, która — wbrew orzeczeniu komisji badawczej, wysłanej do Chin — starała się pozyskać sobie Japonję ustępstwami i zaprzepaściła szansę wciągnięcia w akcję Stanów Zjednoczonych. Sir John Simon staje pod pręgierzem krytyki bardzo niemiłej.

Dell nie oszczędza poczynań brytyjskich na terenie komisji rozbrojeniowej. Gesty czynione w marcu 1933 r. przez MacDonalda dawały — według Della — „pełne równouprawnienie Rzeszy jeżeli chodzi o armję lądową, ponieważ armja niemiecka nie jest groźna dla Anglji, ale nie dawały równości we flocie i lotnictwie, ponieważ są one niebezpieczne dla Wielkiej Brytanji“. Już w tych posunięciach z r. 1933 widzi Dell „zaproszenie Niemiec do walca“ i zachętę ich do dozbrojenia.

Ostro rozprawia się Dell z komedją abisyńską. Jest on zdania, że kiedy w r. 1935 Anglja przystępowała do nałożenia sankcyj na Włochy, stanowisko Londynu nie było w pełni szczere. Mussolini — pisze Dell — raz przynajmniej mówił prawdę, gdy zarzucał nam hipokryzję. Już bowiem od r. 1926 istniały ciche ugody, które odstępowały Abisynję Włochom: w lipcu 1926 r. rząd abisyński, zaniepokojony konszachtami włosko-angielskiemi, zwracał na nie uwagę sekretarjatu Ligi. „Rządy Wielkiej Brytanji i Francji — stwierdza Dell — od samego początku godziły się na agresję włoską... Gdy Mussolini powiedział później — w dobie wprowadzenia przez Anglję sankcyj — iż został oszukany przez MacDonalda i Simona w Stresie, miał rację. Rząd brytyjski prowadził przez cały czas podwójną grę“. Dell posuwa się jeszcze dalej: zaznacza, że zmiana w stanowisku rządu brytyjskiego, a więc przejście na politykę sankcyj, wywołane było względami pozyskania wyborców („zmiana ta była całkowicie wywołana względami wyborczemi“). Innemi słowy: polityka zagraniczna poszła w niebezpieczny pacht rozgrywek wewnętrznych (podobny zarzut stawia partji konserwatywnej Sir Charles Petrie).

Interesujące są uwagi Della o akcji pewnych odłamów prasy brytyjskiej, ażeby dowieść ogółowi angielskiemu, że za nic w świecie Anglja nie może pójść na rozgrywkę wojenną z Włochami. Bluff Mussoliniego, że zniszczy flotę brytyjską na morzu Śródziemnem przez — walenie się samolotów z załogami samobójczych pilotów na pokłady angielskich jednostek bojowych, chwycił doskonale; co więcej, pewne odłamy prasy znakomicie podparły ten bluff. Dell — i nie on jeden — wyznaje przekonanie, że gdyby Anglja poszła na zamknięcie Suezu, cała awantura abisyńska zostałaby szybko zlikwidowana, Mussollini musiałby skapitulować, i nie trzebaby było czekać na obecną wojnę z szansą złamania jego prestige'u.

Jeszcze może przykrzejsze karty poświęca Dell dramatowi hiszpańskiemu. Dell podkreśla, że w wielu momentach wojny domowej w Hiszpanji, kiedy Francja mogła użyczyć pomocy republikanom, Anglja używała najbardziej drastycznego nacisku, żeby odwieść Paryż od takiego kroku. Tak np. w sierpniu 1936 r. ówczesny ambasador brytyjski w Paryżu Sir George Clerk oświadczył Delbosowi, że „jeżeli Francja wpląta się w kabałę z Rzeszą na tle dostaw broni dla rządu hiszpańskiego, wówczas rząd brytyjski nie będzie uważał ataku niemieckiego na Francję za akt niesprowokowanej agresji w sensie ustalonym przez pakt lokareński i nie przyjdzie Francji z pomocą“. To żałosne widowisko wzajemnego podkopywania się sprzymierzonych z wojny ostatnej i wojny obecnej, jest czemś co napawa doprawdy wstydem; niestety, bezczynność w sprawie Hiszpanji mści się. Francja zapłaciła już za t.zw. nieinterwencję w Hiszpanji (jedną z największych komedyj dyplomatycznych wszystkich czasów), Anglja płaci dalej, albowiem Hiszpanja Franca jest dla Londynu groźbą, która zrealizuje się może lada tydzień.

Ostro rozprawia się Dell z akcją polską, która miała na celu osłanianie hitlerowców gdańskich: uważa — słusznie — że ta ochrona była niepotrzebna, co więcej, szkodliwa. Polska nie pomogła sobie w niczem przez to, że udawała — jak tyle innych państw na inne tematy — że w Gdańsku wszystko jest jak najlepiej i że jest to wewnętrzna sprawa wolnego miasta. Krytyka stanowiska Polski w sprawie Gdańska, podobnie jak jego uwagi — często ostre, ale zawsze pragnące utrafić w sedno — o Górnym Śląsku oraz o Wilnie, są pouczające, i czytelnik polski znajdzie w nich napewno niejedną myśl zastanawiającą. Warto przeczytać także strony poświęcone nieszczęsnej ingerencji naszej polityki zagranicznej w sprawy wewnętrzne Czechosłowacji (Dell wspomina o akcji Becka w stosunku do dr. Kahanka, ale nie mówi nic o popieraniu przez nas awaturnika słowackiego Sidora; ciekawe są uwagi Della o roli Becka w kryzysie sudeckim).

Dell ostro atakuje politykę polską za sabotowanie akcji Barthou: uważa on Barthou za jedynego polityka francuskiego, który miał nie tylko plan i wolę odbudowania systemu francuskiego na kontynencie, ale i energję potrzebną do przeprowadzenia tego zamiaru. Przypomina on starcie Barthou z Beckiem w Genewie we wrześniu 1934 r., kiedy francuski mąż stanu rzucił pod adresem Becka gniewne słowa: „Wasz układ z Rzeszą doprowadzi was do czwartego rozbioru“. Dell — podobnie jak inni publicyści — uważa, że odmowa Polski przekreśliła pakt wschodni. Wniosek ten wydaje się nieco zbyt pośpieszny, albowiem pakt wschodni nie był jeszcze zmontowany i Polska nie rozbiła gotowej już struktury: faktem jednak pozostaje, że stanowisko Polski uniemożliwiło postawienie całego zagadnienia. Historyk orzeknie, czy upór Polski był słuszny, czy też — zgubny.

Z pasją piętnuje Dell wszystkie proniemieckie awanse rządu brytyjskiego. Polityka angielska — oskarża Dell — dążyła stale w latach ostatnich do głaskania Rzeszy. Przytacza on zdumiewający zaiste w swej treści artykuł wstępny „Times“a, napisany pono przez Lorda Lothiana, gdzie w dobie wizyty Sir Johna Simona i Edena w Berlinie powiedziano ni mniej ni więcej: „Jeżeli Hitler przekona gości angielskich, że jego powiększona armja przeznaczona jest tylko nato, żeby dać mu równość pozycji i równość w rokowaniach z innemi krajami, to być może, stoimy na progu ery, kiedy zmian dokonywać się będzie bez użycia siły“...

Te i podobne głosy i uwagi cytowane przez Della brzmią dzisiaj jak najbardziej ponura humorystyka.

Nie oszczędza Dell Zachodu za stanowisko w sprawie Locarna. Zarzuca on rządowi Sarraut, że w krytycznym marcu 1936 r. wogóle pytał Wielką Brytanję o zdanie: powinien był działać na własną rękę i zmusić Londyn do pójścia za Francją. Nic dziwnego, że w parę tygodni potem jeden z urzędników „Foreign Office“u powiedział autorowi: „Cóż za durnie z tych Francuzów! Gdyby nie pytając się nas wystąpili, musielibyśmy pójść za nimi“.

Oskarżenie Della jest szczególnie przykre, skoro cytuje on fakt, że przed 7 marca 1936 r. przyjaciele sprawy niemieckiej na terenie Izby Gmin wiedzieli już o zamiarach Rzeszy w Nadrenji: — nie powiadomiono o tem rządu francuskiego. Raz jeszcze nieszczerość między sprzymierzonymi z wojny światowej odbiła się fatalnie na biegu wypadków. Trudno, doprawdy, było sobie wzajemnie więcej szkodzić, aniżeli czynili to politycy obu krajów tak siebie potrzebujących wzajemnie: Anglji i Francji. Dell przypomina, że Flandin zjawił się w Londynie na pogrzebie polokareńskim, „żywiąc nielada nadzieje“. Rząd brytyjski dał mu jednak do zrozumienia, że nie zamierza honorować zobowiązań podeptanego paktu.

*

Chwilami zdaje się nam, iż oskarżenie Della — że rząd Wielkiej Brytanji ze zdumiewającem zaślepieniem wspomagał politykę niemiecką — idzie zbyt daleko. Zarzucając polityce brytyjskiej nastawienie zdecydowanie proniemieckie, przypomina Dell, że nawet w dobie konferencji w Montreux Anglja „działała w interesie Rzeszy“ i że nie dbała o Turcję. Dell upiera się także, że Lord Halifax powiadomiony został w czasie swojej wizyty w Berchtesgaden u Hitlera w listopadzie 1937 r. o bliskim zaborze Austrji. Faktem pozostaje, że gdy ambasador Francji w Londynie zjawił się w dniu zaboru Austrji na Downing Street z propozycją swojego rządu dokonania wspólnego démarche, „kazano mu czekać parę godzin, a wreszcie dano odpowiedź negatywną. Tymczasem premjer i jego minister spraw zagranicznych podejmowali śniadaniem Ribbentropa — zawiadomiono potem ambasadora Francji, że Ribbentrop dzwonił do Berlina i że nalegał na umiarkowanie“.

*

Są to ponure, chciałoby się powiedzieć — przerażające karty. Czytamy je i nie chcemy wierzyć własnym oczom. A jednak tak, tak było, Dell nie zmyśla, cytowane przez niego fakty były wiadome i nam dziennikarzom pracującym na posterunku londyńskim. Są to doprawdy rzeczy, o których się nawet myśleć nie chce — „parties honteuses“ polityki sprzymierzonych, hańbiące dowody zaniku zmysłu samoobrony Europy. I nie dziwi nas już wniosek Della, że „ruch odłączenia Sudetów od Czechosłowacji rozpoczął się naprzód w Londynie, zanim wyrósł w Czechosłowacji“, podobnie jak nie zdziwią nas już kłamliwe machinacje Bonneta, który robił wszystko, żeby sabotować wszelkie odruchy energji w epoce kryzysu monachijskiego.

Dell wypowiada uwagi krytyczne o angielskiej księdze niebieskiej, twierdząc, że pomija ona sporo depesz Sir Nevile'a Hendersona, ambasadora Wielkiej Brytanji w Berlinie, który szedł niedwuznacznie na ugodę z Rzeszą; autor stwierdza, że „w okresie między Monachjum a wejściem Niemców do Pragi rządy Anglji i Francji goniły nawyprzódki i starały się pozyskać na wszelkie sposoby względy Rzeszy“. Dell jest zdania — w czem ma bodaj zupełną rację — że Bonnet sprzedał Ribbentropowi Europę wschodnią w czasie deklaracji francusko-niemieckiej z grudnia 1938 r. Dell potępia zachowanie się Francji i Anglji na wiosnę 1939 r. w rokowaniach z Moskwą: „Dn. 17 marca 1939 r. Litwinow w imieniu rządu sowieckiego zaproponował zwołanie natychmiast narady w Bukareszcie z udziałem Anglji, Francji, Rosji, Polski, Rumunji oraz Turcji, celem rozważenia, jaką akcję należy przedsięwziąć. Rząd brytyjski odmówił zgody na projekt i dlatego wziął na swoje barki straszliwą odpowiedzialność za wybuch tej wojny. Gdyby przyjęto prozycję sowiecką, w której wyniku podpisanoby układ o wzajemnej pomocy albo sojusz między 6 państwami, Hitler nie odważyłby się narzucić wojny“. Dell posuwa się do wniosku, że Anglja obrała zły kurs i że „gwarancje angielskie dla Polski i Rumunji, zamiast ułatwić rokowania angielsko-francuskie z Rosją, utrudniły je“.

Wydaje się, że wnioski te są jednostronne i że niema jeszcze na nie odpowiedniego potwierdzenia. Niewiadomo podziśdzień, czy krok sowiecki z wiosny 1939 r. był szczery, czy też Rosja miała już nawiązane nici z Berlinem i chciała wytargować najwięcej (w targu tym Hitler, rzucający każde stawki, gdy trzeba, wyszedł zwycięsko). Historja oceni, czy istotnie dałoby się Rosję wciągnąć do akcji zbiorowej — wydaje się jednak, że Chamberlain w swoich ofertach w stosunku do Rosji był istotnie nie tylko powściągliwy ale nieszczery: bał się Rzeszy i jej reakcji, bał się czerwonej płachty komunizmu.

*

„The Geneva Racket“ jest lekturą pasjonującą. Odkłada się książkę przykrą jak ta, w przekonaniu, że jednak w dziejach Europy powojennej nie może powtórzyć się to wszystko. Chcemy wierzyć, że nie odrodzą się znowu złudzenia na temat jakiejś równowagi sił na kontynencie, zbrodniczy egoizm państw, które wzajemnie się podkopywały i wzajemnie rzucały na ofiarę. Nie powtórzy się chyba samobójczy pęd Europy do zagłady, to granie na rękę drapieżcy, zaślepienie połączone z głupotą. Nie powtórzy się — albowiem organizm Europy nie przytrzymałby już takiej nowej próby.

ZBIGNIEW GRABOWSKI.

---

*) The Geneva Racket 1920—1939 by *Robert Dell*. Londyn, Robert Hale (1941); str. 375 i Inl., tabl. 8. — Wyjątek z książki Della, dotyczący inicjatywy polskiej w latach 1933 i 1936 (propozycja wojny prewencyjnej z Rzeszą), drukowaliśmy osobno w artykule „Obcy o inicjatywie polskiej w latach 1933 i 1936“ w nr. 61 „Wiadomości Polskich“. — Por. także wspomnienie Czesława Poznańskiego o Dellu w nr. 25.

Redacja „Wiadomości Polskich“ poszukuje książek polskich, szczególnie dzieł klasyków, poszczególnych numerów „Wiadomości **Literackich**“ *(od r. 1938 wstecz) i zeszytów „Skamandra“.*

Nastroje genewskie

Genewa, w kwietniu 1941.

Dla starych bywalców Genewa dzisiejsza przedstawia widok pełen łagodnej melancholji. Prawy brzeg jeziora, ożywiony niegdyś przez kilka tysięcy klientów Ligi Narodów, jest obecnie napół martwy. Hotele są częściowo zamknięte. W bladem słońcu wiosennem szerokie bulwary nad jeziorem podobne są do pól elizejskich lub innego ~~miejsca pobytu~~ duchów. Nawet karykatury dawnych bohaterów Ligi, wiszące na ścianach kawiarni Bavaria, wydają się odległe, nierealne, niby karykatury duchów.

W olbrzymim pałacu, na zbiegu autostrad z czterech krańców Europy, Liga zatrudnia jeszcze w swym sekretarjacie 37 urzędników.

Przy bliższem rozważeniu okazuje się jednak, że duch Ligi nie umarł całkowicie i że ukazuje się jeszcze dawnym przyjaciołom jako „animula pallida blandula“ w postaci zredukowanej, bladej jak ognik fosforyzujący na próchnie...

W Genewie powstała pewnego rodzaju emigracja Ligowa. Na opustoszałych bulwarach spostrzega się jeszcze czasami postaci byłych delegatów, obserwatorów, urzędników i dziennikarzy Ligowych, którzy nie mają dokąd wracać i pozostali w Genewie. Przez dwadzieścia lat w ciszy swego szklanego pałacu patrzyli na film wypadków, które zaprowadziły nas do obecnej sytuacji. Rozmawiając z nimi i dziś jeszcze słyszymy, jak w muszli przyłożonej do ucha, odległy szum wielkich wypadków, narastających i odpływających nastrojów politycznych.

*

Jednym z częstych tematów rozmów są tu sprawy rosyjskie. Ma to swoją przyczynę. Emigracja z rosyjskiego obszaru politycznego, obejmująca dawniej enigrantów rosyjskich, ukraińskich i kaukaskich, powiększyła się świeżo o emigrację z nowych zaborów sowieckich. Całe to nowe i stare wychodztwo zostało niejako zmonopolizowane przez Niemcy, bądź w okresie ich polityki antykomunistycznej, bądź też w ostatnich czasach siłą faktów, trafiając na całym niemal kontynencie pod okupację niemiecką. W nielicznej grupie szwajcarskiej odbijają się jak w zwierciedle wszystkie tendencje i nastroje nurtujące emigrację na obszarze wpływów niemieckich.

Podczas mego uprzedniego pobytu w Genewie, w grudniu ub.r., nastroje te odpowiadały fali niewiary i zniechęcenia, przebiegającej Niemcy, kiedy stało się tam jasne dla wszystkich, że zapowiadane zwycięstwo uciekło daleko i stało się, być może, tylko złudnym mirażem, znanym z wojny poprzedniej.

W Genewie stawiano wówczas na bolszewików. Kiedy Niemcy zaczną słabnąć, mówiono, będą się cofały od wschodu, ustępując kolejno Sowietom resztę Polski, Rumunję, Ruś Przykarpacką, a wreszcie w chwili załamania się staną się same łupem bolszewików, którzy dojdą wówczas do samego Paryża i Pirenejów.

Niektórzy uważali nawet taki obrót spraw za niezbędną fazę przejściową.

Hitleryzm, mówili, zawdzięcza swe zwycięstwo wpływom, jakie miał na grupy posiadające całego kontynentu. Grupy te sabotowały obronę narodową przeciwników Niemiec, dziś zaś tworzą wszędzie komitety współpracy z władzami okupacyjnemi. Wyleczyć kontynent europejski z hitleryzmu może tylko rewolucja społeczna, do wypełnienia zaś tego zadania nie zgłasza się narazie nikt prócz komunistów. Kontynent zatem musi przejść przez oczyszczający ogień bolszewizmu. Takrozumując, niejeden z tych, którzy kapitulowali latem przed Hitlerem, na Boże Narodzenie przygotowywał się w sekrecie do nowej kapitulacji na lewo. Zaczęto znów interesować się eksperymentami sowieckiemi.

Dziś, wiosną, w oczekiwaniu nowej ofensywy niemieckiej, zagadnienie rosyjskie ukazuje się w rozmowach oświetlane ze strony odwrotnej. Niemcy, mówią wtajemniczeni, mobilizują w tej chwili całą emigrację polityczną z obszaru sowieckiego. W Berlinie powstał litewski komitet narodowy z udziałem przedstawicieli czterech głównych stronnictw (na wywóz mogą być i stronnictwa) oraz wielu byłych ministrów i dygnitarzy. Tak samo energicznie organizowane są inne grupy emigrantów. Niemcy posiadają w pełnym składzie rządy „narodowe“ dla Rosji, Ukrainy, krajów bałtyckich i Kaukazu. Rządy te, mówią, już czyszczą buty i piszą manifesty do swych ludów, przygotowując się do drogi.

Podróż, próbuję wtrącić, niemała.

Może wcale nie tak długa, jak się wydaje. Wojna niemiecko-sowiecka rozpocznie się lada dzień. Rządy „narodowe“ osadzane będą na swych terenach w miarę posuwania się wojsk niemieckich. Rosja sowiecka dojrzała już całkowicie do tej operacji, i rządy „narodowe“ z Berlina znajdą licznych zwolenników nawet w obecnej partji komunistycznej, która w rzeczywistości składa się dziś z drobnomieszczaństwa urzędniczego, gotowego już oddawna do przyjęcia ewangelji narodowo-socjalistycznej i przygotowanego nawet częściowo do tego nawrócenia przez ostatnią ewolucję stalinizmu. W Berlinie spodziewają się, że po większych niepowodzeniach wojskowych rząd moskiewski upadnie, i Rosja aż do Syberji i Kaukazu włącznie będzie mogła być opanowana przy pomocy samych tylko operacyj politycznych. Udział Japonji w tem przedsięwzięciu będzie polegał na odcięciu Rosji od ewentualnej pomocy amerykańskiej. Poprzez kontynent azjatycki trzej partnerzy osi podadzą sobie ręce, tworząc gigantyczny blok, godny ich „planetarnych“ ambicyj.

Powrót do polityki antykomunistycznej, ciągną dalej moi rozmówcy, nada wreszcie pewną określoną treść słowu „Neuordnung“ i odwróci uwagę od tego „porządku“, jaki Niemcy wprowadzają obecnie w Polsce i w innych krajach okupowanych. Niemcy spodziewają się, że zwrot ten przywróci im inicjatywę polityczną i zrobi wielkie wrażenie w całym świecie. Nareszcie, powiedzą, Niemcy zrobią porządek z bolszewizmem, na który wszyscy patrzyli bezradnie przez dwadzieścia lat. Być może, ożyją nawet dawne uczucia germanofilskie, łączące posiadających starego i nowego świata.

Na moją uwagę, że wszystkie te przygotowania antysowieckie w Niemczech dążą, być może, tylko do zastraszenia i unieruchomienia sił rosyjskich zdala od teatru wojny na Bałkanach, moi rozmówcy zaczynają machać rękami, dowodząc, że na Bałkanach Niemcy nie mają już nic do roboty, że na nową politykę Stanów Zjednoczonych muszą odpowiedzieć czemś poważniejszem od zajęcia Salonik i że wreszcie oni — t.j. moi rozmówcy — posiadają najbardziej pozytywne wiadomości o przygotowaniach niemieckich do opanowania Rosji.

Tam, gdzie o wszystkiem decyduje wola jednego, żadne przewidywania nie są całkowicie pewne, biorę więc informacje moich rozmówców za to, co są warte, i stwierdzam jedynie, że Niemcom udało się zahipnotyzować temi pomysłami całą zmonopolizowaną przez nich emigrację z obszaru sowieckiego i zapewne także podatniejszą na to część opinji w Europie wschodniej.

Pragnąc jednak wyzyskać spotkanie z ludźmi tak świetnie poinformowanymi, pytam jak na Wilhelmstrasse rozgraniczono interesy wszystkich tych rosyjskich, ukraińskich, bałtyckich i kaukaskich rządów „narodowych.“ W odpowiedzi dowiaduję się tylko, że Litwa i Łotwa mają pozostać niepodległe w ramach „Neuordnung“ i że Niemcy biorą na siebie uzgodnienie tego punktu z rządem moskiewskim czy petersburskim. Z różnych szczegółów mogę wnosić że najbardziej mgliste obietnice otrzymali Ukraińcy i że sprawy ich mają być rozstrzygnięte później, zależnie od dalszego biegu wypadków.

Rosja zachowuje więc nadal sławę kraju o nieograniczonych możliwościach.

MARCIN ODROWĄŻ.

Holzsohlen

Czy wiecie, Drodzy Czytelnicy, że Pariser, tarnowski „Pariser i Weiss“, wyrabia teraz drewniane podeszwy, drewniane obcasy, drewniane sandały i wogóle drewniane buty, czyli sogenannte „Holländer“? Na to mu przyszło! Pariser i Weiss! Może nazwisko to niewiele wam powie, jeśli nie znacie Tarnowa, ale ja zadumałem się głęboko, przeczytawszy ogłoszenie tej firmy w „Krakauer Zeitung“. Jeszcze do niedawna były to „Holzindustriewerke“, teraz pod zarządem „Treuhändera“, niejakiego Stanisława Fenrycha, wyrabiają drewniane podeszwy. Niby także przemysł, i to drewniany, ale... I w tym samym numerze „Krakauer Zeitung“ drugie ogłoszenie: jakaś firma z Kolonji może dostarczyć 3000 par „Holzsandaletten mit Leder und Band Oberteilen“. Czy ta skóra jest prawdziwa, nie wiem, ale w każdym razie jej obecność w tak znikomych wymiarach daje trochę do myślenia, zwłaszcza że „Krakauer Zeitung“ powiada o sobie, że jest „der repräsentative Werbeträger“. No, te podeszwy drewniane są także reprezentacyjne. Mówiło się, że poznać pana po cholewach, o ile jednak łatwiej poznać go po podeszwach. Zwłaszcza po drewnianych.

Cały numer owej „Krakauer Zeitung“ jest butny, czelny, raczej bezczelny, i arogancki. Słowem, niemiecki. Słychać w niej marsz, marsz, marsz miljonów siedmiomilowych butów, zwycięskich niewątpliwie, ale równocześnie butów o drewnianej podeszwie. Kontrast ogłoszeń o traktorach, motorach, rozmaitych instalacjach i ogłoszeń o tych podeszwach jest w gatunku zupełnie...sowieckim. Podobnych kontrastów znajdziemy jeszcze więcej podczas lektury Krakauerki.

Artykuły polityczne można sobie darować, są bowiem nieciekawe i treść ich łatwo każdy odgadnie. Bardziej interesujące są szczegóły z dziedziny drobnych wiadomości, głównie wspomniane ogłoszenie, jak również nazwy ulic (część nazw pozostała niezmieniona), dalej nazwiska urzędników, następnie fakty z życia „artystycznego“ oraz sportowego.

Przy sprawozdaniu z zawodów piłki nożnej najpierw chciałem splunąć, a po zastanowieniu splunąłem jako b. wieloletni wiceprezes „Cracovii“. Do pasji doprowadziły mnie nazwiska poniektórych graczów. Czytam bowiem, że na boisku „des ehemaligen Cracovia-Stadions“ (widzów zaledwie 1800!) spotkało się „Luftwaffe Okecie“ z jakiemś D.T.S.G. Sądzę, że ten skrót można odczytać jako „Deutsche Turn-und Sport-Gesellschaft“. Otóż wśród tych „Niemców“-piłkarzy grają m. in. Gora (można się było po nim wielu rzeczy spodziewać), dalej dwaj „Garbarze“, czyli Pazurek I i Pazurek II, Joksch (dawniej pisał się przez *sz*), nadto jakiś Majowski, Stankusch i Twerdig (może Twardzioch). Splunąłem przy Górze (zawsze był to kawał drania, i nie cierpiałem go serdecznie), uśmiechnąłem się zato przy cennej wiadomości, że Pazurka sfaulowano i że musiał opuścić boisko. Dobrze tak podwójnemu symulantowi! A złam nogę!

Nie tylko uśmiechnąłem się ale śmiałem się dorozpuku, czytając recenzję z występów opery włoskiej w Teatrze im. Słowackiego, bo też trudno wymyśleć bardziej złośliwy i bardziej aktualny tytuł sprawozdania niż „Triumph der Opera Buffo“! Ależ cały Mussolini i występy jego armji w Albanji i w Grecji, to prawdziwa opera! Opera buffo! Chyba redakcja „Krakauer Zeitung“ rozmyślnie dała tak znamienny nagłówek który nie może być dziełem przypadku. Do Krakowa przyjeżdżają na występy! Po sukcesach w Grecji! Do tego, jak poznałem na fotografji, grają w dekoracjach i meblach które ja sam sprawiałem. Przecież mnie oczy nie mylą. Jak wspomnianemu Górze musiałem, będąc wiceprezesem klubu, sprawić złoty sygnet spowodu setnego meczu, tak samo sprawiłem dekoracje i meble, w których te bufony włoskie grały! I recenzent pisze że kurtyna razporaz chodziła do góry i na dół! O, Boże, wśród kurtyn krakowskiego teatru znam jedną, która powinna była w tym wypadku urwać się i spaść któremuś Włochowi bodaj na nogi, jeśli nie na głowę! Jest to mianowicie kurtyna ogniotrwała. Żelazna!

Oprócz teatru miejskiego, w którym grają np. sztukę p.t. „Schneider Wibbel“, działa w Krakowie i nadscenka, czyli „Kleinkunstbühne“, przy „Floriangasse“. Występuje tam m.in. jakiś Opernsänger Kruszewsky... Znałem pewnego ryczywoła Kruszewskiego, który nigdy i nigdzie nie mógł dostać engagement. Musiał czekać na otwarcie tej nadscenki „Der Kreisel“! Przy Floriangasse... Zresztą nazwisko jego, jeśli odliczymy wspomnianych sportowców, stanowi raczej wyjątek w tym numerze Krakauerki, gdzie z polskiemi nazwiskami spotkać się można prawie wyłącznie w ogłoszeniach o unieważnieniu zgubionych legitimacyj.

Sport zajmuje bite cztery stronice, przyczem wiele miejsca poświęcono zawodom warszawskim, głównie pływalni na Bielanach, którą gustownie przerobił Gefreiter Kirfel... Były zawody narciarskie w Szczyrku (Schirk), w Zakopanem zaś otwarto „Erholungsheim“ dla młodzieży hitlerowskiej z Petrikau (Piotrków!). Z innych dziedzin Krakauerka podaje, że Łodź wzięła wybitny udział w targach lipskich, wogóle zaś było tam aż trzystu wystawców z gubernji. Cóż jeszcze? Aha! Ktoś, kogo boli głowa, zażywa po dawnemu „Kowalskiny“. To taki „Kopfschmerzpulver“, którego można używać również „bei Erkältung“.

Zażyłbym teraz Kowalskiny. Nie jestem zaziębiony, ale głowa mnie rozbolała porządnie podczas tej lektury. Jednak, powoli, w miarę jak zagłębiam się w tajniki Krakauerki, ten ból zdaje się ustępować. Zmniejszył się raptownie, gdy przeczytałem na reprezentacyjnem miejscu tego „amtliches Organ des Generalgouvernements“ elektryzującą informację, która brzmi: „Anzug und Mantel fast neu zu verkaufen“... Patrzcie państwo! Prawie nowe! I właśnie ten oficjalny organ podkreśla, że jest reprezentacyjnym „Werbeträger“. No, jeszcze ani w „The Times“ ani nawet w pomniejszych organach zrujnowanego Londynu czy nawet prowincjonalnych miast angielskich nie spotkałem się z takiem ogłoszeniem. To ogłoszenie w niemieckiej, nie w polskiej, gazecie, mówi niesłychanie wiele.

Mam i drugie ogłoszenie, jeszcze ciekawsze: ktoś z Nadrenji poszukuje skromnego mieszkania w Krakowie... O, drugie takie samo ogłoszenie! I trzecie! I czwarte! To tam ciepło musi być nad tym Renem. Ale i w Berlinie także ciepło, skoro pewnemu berlińczykowi wystarczy jeden pokoik... Byle nie w Berlinie.

Głowa zupełnie przestała mnie boleć. Jak ręką odjął. Już nie irytuję się jak przy sportowcach. Już śmieję się jak przy operze buffo i jej tryumfie, tylko śmieję się trochę innym śmiechem.

Jedźmy dalej. Na tej samej stronie, gdzie umieszczono fotografję włoskich tryumfatorów, zwraca uwagę inne zdjęcie, zwłaszcza że jest nad niem napis tłustemi czcionkami: „Aus zwei sind inzwischen acht geworden“. Cóż to za cudowne pomnożenie? Ano, do niedawna miała Warszawa dwie taksówki, obecnie ma osiem, a Krakauerka zapowiada, że w krótkim czasie będzie ich dwadzieścia. Na całą Warszawę! I Krakauerka podkreśla to jako tryumf gospodarki niemieckiej. A już gospodarują od półtora roku zgórą.

Czy wygrają wojnę? Czy daleko zajdą na tych siedmiomilowych butach o drewnianych podeszwach? Z czego będą te podeszwy za rok? Za dwa? Więc zagarnęli prawie całą Europę, chcąc mieć surowce, m. in. skórę. I właśnie w Kolonji, w bombardowanej przez Anglików Kolonji, wyrabia jakaś fabryka drewniane chodaki z paskami z prawdziwej skóry! Czyżby czas szył buty dla Niemców? Chyba tak.

Cóż ci Niemcy zrobili z Europy? Przecież już dzisiaj słyszymy, jak kłapią drewniane chodaki nie tylko w Polsce, ale w Rumunji, w Bułgarji, w Jugosławji, w Grecji. Mówiąc o nowym porządku świata, Hitler robi z gęby cholewę. Ale podeszew ze skóry, ze skóry prawdziwej, zrobić nie może.

Bo niema z czego.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI.

POKAZ POLSKICH STROJÓW REGJONALNYCH

fot. Pikiel

Dn. 8 maja b.r. w Ognisku Polskiem w Londynie odbył się pokaz modeli polskich strojów regjonalnych, przeznaczonych na wystawę propagandową w Stanach Zjednoczonych. Modele ustawione są na tle powiększeń fotograficznych krajobrazu i architektury polskiej. Wystawę projektowali i urządzili Tadeusz Lipski i Czesław Podleski. Modele wykonała Stefanja Przeworska według materjałów etnograficznych opracowanych przez Irenę Łukaszewiczową.

Pg. 2 ANTWORTET NICHT

Przed kilkunastu laty jeden z uniwersytetów amerykańskich ogłosił konkurs na pracę, w której przedstawiciele młodego pokolenia Rzeszy powojennej wypowiedzieliby możliwie najzwięźlej i najdobitniej swoje zamiary, plany i ambicje i dali wyraz tęsknotom ożywiającym młode Niemcy. Nagrodę na tym konkursie amerykańskim otrzymał niejaki Rudolf Hess, syn kupca niemieckiego z Aleksandrji.

Nieznany nikomu bliżej słuchacz uniwersytecki z pobitych Niemiec otrzymał nagrodę amerykańską — jaką nagrodę i jakie honorarjum byłaby gotowa ofiarować dzisiaj Rudolfowi Hessowi Ameryka za jego wyczyn iście w amerykańskim stylu : przelot z Augsburga do Szkocji, by oddać się w ręce nieprzyjaciela. Hess, człowiek trzymający się w cieniu, najwierniejszy janczar Hitlera, postać nie posiadająca własnego oblicza, idealny urzędnik, najdyskretniejszy sekretarz osobisty, zrobił nagle niebywałego psikusa, zaćmił z dnia na dzień wszelakie sensacje świata.

*

Kim był Hess? Cieniem Hitlera, człowiekiem, który wyrzekł się siebie dla Führera. Przystał do Hitlera wtedy kiedy niewielu miało ochotę na wiązanie się z awanturniczym ruchem. Stał wiernie przy Hitlerze i spisywał w twierdzy Landsberg jego „Mein Kampf" ; przypuszczać należy, że niektóre partje książki wogóle wyszły spod pióra Hessa. Był niewzruszoną opoką lojalności, wierności. Hitler, opanowany lękiem zdrady, podstępu, intryg, ufał najbardziej Hessowi. Hess był prosty, cichy, nie wysuwał się naprzód, nie pożądał zaszczytów. Nie obwieszał się orderami jak Göring, nie snuł subtelnych intryg jak Goebbels, nie rozpinał straszliwych sieci wywiadu jak Himmler. Był sługą swojego pana, i Hitler instynktownie mu ufał. Hess odrabiał za niego nie tylko żmudną pracę przeglądania tysięcy dokumentów, nie tylko był intymną kancelarją kanclerza, ale odrabiał także „brudną robotę" : używano go do ogłaszania takich niemiłych faktów, jak czystka czerwcowa r. 1934 i inne ewenementy. Na Hessa można było liczyć.

Kłębowisko intryg, jakie otaczało i otacza Hitlera, omijało stale Hessa. Trzeba było godzić tego z owym, odstawiać na czas jakiś w stan niełaski takiego czy owego ministra, podwyższać tamtego a zniżać innego, ale Hess był pozornie nieusuwalny, nienaruszalny — oś stałości w kole zmian.

I oto ten właśnie idealny janczar, typ egzotyczny, o twarzy zawodowego brutala, czmychnął pewnego popołudnia z Niemiec. Opuścił je zastępca Führera, przywódca partji, wspomniany w mowie Hitlera z dn. 1 września 1939 r. jako następca Hitlera, — obok Göringa, — gdyby coś się stało kanclerzowi brunatnej Rzeszy. Hess rzuca karjerę jakich mało, rzuca swoje niewzruszone stanowisko, niezagrożone pozornie przez żadne intrygi, i ląduje na spadochronie w Szkocji.

Jakie mogą być motywy tego kroku? Wydaje się, że zasadniczo mogą istnieć trzy wytłumaczenia eskapady Hessa. Pierwsze, że w przystępie szaleństwa, nurtującego go od dłuższego czasu, Hess ucieka samolotem. Tłumaczenie to nie wytrzymuje krytyki. Dlaczego Hess ucieka akurat do Anglji? Widocznie orjentuje się dobrze, że Anglja, to jedyny kraj, który go nie wyda. Ani Portugalja, ani Szwecja, ani Turcja nie dają tej gwarancji. Lot na myśliwcu, który napewno był ścigany i ostrzeliwany, — nawet jeżeli Hess obrał trasę nad morzem Północnem, — nie jest zadaniem łatwem, jeżeli zważymy, że Hess pierwszy raz pilotuje Me. 110 i że nie miał odpowiedniego treningu. Trudno przypuścić, ażeby warjat tak doskonale wykonał lot na dystans 1500 km, tak gładko skakał ze spadochronem (po raz pierwszy w życiu) i tak dobrze wyminął pościg. Trzeba było nielada przytomności, by przygotować i zakonspirować sam lot.

Drugie tłumaczenie powiada, że Hess czuł, że wokoło jego szyi zaciska się pętla intrygi. Kto ją zaciskał? Czy Himmler? Czy podobnie, jak się to stało z Röhmem, Himmler przygotował materjał obciążający Hessa? Czy chciał go sprzątnąć albo odstawić w przededniu jakiejś ważnej decyzji politycznej, której Hess się sprzeciwiał (np. porozumieniu z Rosją kosztem Bliskiego Wschodu)? Czy Hess nie poczuł nagle, że ziemia pali mu się pod nogami, albowiem Himmler zdołał przekonać Hitlera, że Hess jest niepewny, gdyż nie wierzy w zwycięstwo?

Tłumaczenie takie jest dość prawdopodobne. Karjery rewolucyjne są niepewne. Głowy spadają szybko, łaski kończą się niespodzianie we wszystkich systemach rewolucyjnych, Zaznał tego losu Röhm, przekonał się o niełasce von Fritsch, setki ludzi mniej lub więcej ważnych uprzątnięto w Rzeszy pod tym czy innym pozorem. Zbiegł do Anglji ongi najbliższy druh Hitlera — Putzi Hanfstängl, który koił jego nerwy godzinami gry na fortepianie, wprowadził Hitlera do domu Wagnerów i opiekował się nieopierzonym jeszcze wodzem Rzeszy. Goebbels postarał się żeby Hanfstängl przeraził się — uciekł do Szwajcarji, chociaż nie było *jeszcze* powodu, i wołał nie ryzykować powrotu mimo błagalnych wezwań z Berlina i z Berchtesgaden.

Możliwe, że Hess przestraszył się jak Putzi Hanfstängl, może zwietrzył niebezpieczeństwo, a zhisteryzowane nerwy wyjaskrawiły grozę. Możliwe, że Hess był jak ten idealnie uczciwy kasjer banku ; kasjer, który przez trzydzieści lat robił swoje, miał dom, żonę i dzieci i był wspaniałym typem uczciwości i przeciętności — aż tu nagle pewnego dnia kasjer ucieka z awanturnicą, defrauduje krocie, i okazuje się, że prowadził podwójne życie od lat.

Kto wie, czy prosty brutal Hess poprostu nie wytrzymał systemu, nie wyłamał jak zwierzę, które czuje się osaczone, nie został opanowany lękiem, chorobą wielkich stepów i rewolucyj. Jeżeli tak, stanowi to dowód, że nawet nerwy jak postronki, nawet szczęki jak ze stali, nie znoszą zbyt długo piekła totalnego systemu, że zawodzą, że wpadają w panikę. Jest to pocieszający dowód, że koło intryg, jakie szaleją wokoło dyktatora, łamie nawet najbardziej prymitywne natury, że nie można znieść ponad pewną normę okrucieństwa, rozpasania chamstwa, nadmiernej świadomości znieprawienia — nie można unieść zbyt wielkiego ciężaru własnych i cudzych zbrodni. Trudno ocenić dzisiaj wymiary ciosu zadanego hitleryzmowi przez człowieka prostego, popularnego wśród mas, człowieka uważanego za ideał uczciwości i prawości.

Jeżeli analiza nasza jest zgodna z prawdą, byłby to dowód, że przywódcy Trzeciej Rzeszy, ludzie ze stali i żelaza, programowi sadyści i pogromcy, są podminowani poważniej neurozą i histerją, aniżeli nam się zdaje. Nie byłoby w tem nic dziwnego, skoro grupa ta jest pewnego rodzaju elitą rządzącą ludzi anormalnych, o pionie moralnym i umysłowym ustawicznie narażonym na szwank. Rzuca to równocześnie osobliwe światło na naród, który wmawiano od lat, że jest najzdrowszy, najbardziej odporny, najbardziej krzepki. O tych momentach warto pomyśleć*). Dla obserwatora politycznego jest to moment pierwszorzędnej wagi, dowodzi bowiem, że do narodu niemieckiego *można* się dobrać i że rację miał znakomity pisarz angielski Voigt, kiedy powiedział na łamach redagowanego przez siebie miesięcznika „The Nineteenth Century", że „nigdy jeszcze skorupa Niemiec nie była tak twarda jak dzisiaj i nigdy jeszcze jądro nie było bardziej zgniłe".

*

Swojego czasu wystawiono w Rzeszy film o łodzi podwodnej p.n. „U-Boot 101 antwortet nicht". Złośliwcy berlińscy opowiadali sobie potem na ucho, że za parę lat odbędzie się premjera filmu „Pg. 1 antwortet nicht" („Pg"—skrót „Parteigenosse"). Do tego narazie, niestety, nie doszło. Ale „Pg.2 antwortet nicht".

POLITICUS.

---

*) Na ten temat zamieścimy w najbliższym numerze „Wiadomości Polskich" artykuł „Skorupa i jądro", będący wyjątkiem z pracy „Wanted — a New Vision" Axela Heysta.

Czy Polacy nie walczą o demokrację?

W jednem z tutejszych pism polskich wyczytałem, ku memu wielkiemu zdumieniu, że Polacy nie walczą w tej wojnie o demokrację, ale o Polskę. Mam wrażenie że sąd ten polega na nieporozumieniu. Żałuję że nie mogę pomówić z autorem tych słów : jestem przekonany że po bardzo niedługiej rozmowie doszedłby do wniosku iż walczymy właśnie o demokrację.

Albowiem nie walczymy wcale o każdą Polskę i nie walczymy o nieznaną nam Polskę. Nie walczymy, naprzykład, o Polskę sowiecką, choć Stalin nas zapewnia, że nigdy jeszcze kultura polska nie promieniowała tak wspaniale jak od czasu gdy Mordwa urządza wieczory mickiewiczowskie, a Kazakstan rozbrzmiewa mową polską. Nie walczymy także o Polskę hitlerowską, choć Frank nas zapewnia, że nigdy jeszcze w Polsce nie było ani tyle pracy dla wszystkich, ani takiego podniesienia rolnictwa i takiego rozpowszechnienia nawozów sztucznych, jak obecnie. Nie walczymy o Polskę, w którejby „brano za mordę" ; nie walczymy o Polskę, w której byłyby Berezy i Brzeście ; nie walczymy o Polskę, w którejby były pacyfikacje ukraińskie z r. 1932 czy chłopskie z r. 1937. Nie walczymy by w tej Polsce był podział na elitę i na poddanych ; nie walczymy by powstały nowe legendy, nowe związki legjonistów, nowe zasługi i nowi zasłużeni, obdarowywani tantjemami, posadami, notarjatami i synekurami ciężkiego przemysłu. Nie walczymy, by wróciły rządy bez żadnej kontroli społecznej, aby dalej zasłaniano się wszędzie, jak parawanem wygodnym, względami strategicznemi i tajemnicą wojskową. Nie walczymy o rządy wojskowe w Polsce ; nie walczymy o yacht-cluby budowane z budżetu państwowego, ale to szkoły których brakło ; nie walczymy o panoszenie się jednej kasty, choćby legitymującej się krwią istotnie przelaną, albo tylko do przelania gotową w przyszłości. I nie tylko nie walczymy o tamto wszystko co było zmorą, ale stało się grobem państwa polskiego. Więcej : walczymy z tem. Walczymy z tem tak samo jak zdrowy organizm walczy z zarazkami dżumy, cholery czy trądu, choroby która najzdrowsze ciało uczyni trupem. Walczymy z tem tak samo jak walczymy z Niemcami czy z bolszewikami, jak walczymy z wrogiem. Jak na wsi polskiej walczyło się z kołtunem, z brudem, z analfabetyzmem, z pijaństwem, z zabobonem, z pozostałościami najsmutniejszych i najbardziej ponurych czasów. I trzeba żeby ktoś to wyraźnie powiedział.

Walczymy by nasz naród był naprawdę wolny. To znaczy, by mógł sam stanowić o tem kto będzie w Polsce rządził. To znaczy, że sam będzie nakładał podatki i sam kontrolował, czy podatki te użyte są w sposób, jego zdaniem, uczciwy i właściwy. To znaczy, że nie będzie ani klasy, ani — tem mniej — kasty rządzącej, żadnej starej, i — co groźniejsze — żadnej nowej szlachty. Że będzie wolność słowa i wolność prasy, bo tam gdzie one zanikają, zaczyna się przedproże niewoli. Walczymy o kulturę dla naszej młodzieży. Walczymy by tej młodzieży nie zagradzano drogi do służby krajowi balastem ludzi bez wykształcenia. Aby wykształcenie, a nie „poparcie", torowało drogę do stanowisk. Walczymy nie o to by ogólny poziom kulturalny spadł do tych nizin, na których znajdują się najgorsi wśród nas, ale by podniósł się do wyżyn, na których znajdują się ci najlepsi, ci z cenzusem najpierwszej próby. Walczymy by szorowaniem pokładów i inną, rzetelną zresztą pracą, zajmowali się nie Mickiewicze i Słowaccy, ale ci, którzy do innych zadań mają tylko ogromne pretensje, a żadnych kwalifikacyj.

Tysiące ludzi na tej emigracji myśli właśnie tak a nie inaczej. Reprezentują oni siłę, niestety, tylko moralną. Nie mają znaczenia. Nie mają wpływu. Ale wszystko to właśnie zawiera się w jednem krótkiem słowie : „demokracja". Oczywiście, jeśli to słowo nie jest wypaczane i wyinaczane. Człowiek, który walczy o to wszystko, co tu wyliczyłem, i zwalcza to wszystko, co tu napiętnowałem, walczy właśnie o demokrację. Walczy o taką Polskę, którąby była lepsza od tamtej. I którąby jak tamta nie stoczyła się tak szybko w dół.

KSAWERY PRUSZYŃSKI.

SALON OBUWIA
SZTRAUCH
DAWNIEJ
KATOWICE — BUDAPESZT
PRZYJMUJE ZAMÓWIENIA
W FIRMIE
SMITH AND
HOOK KNOWLES
LTD.
COURT SHOEMAKERS,
66, NEW BOND STREET, W.1
Tel.: MAYfair 0934
NAJNOWSZE WIOSENNE MODELE !
USŁUGA POLSKA

LEINSTER HOUSE HOTEL
45 & 46, LEINSTER GARDENS, W.2
Tel. : PAD 7278
Wszystkie pokoje z ciepłą i zimną wodą.
Pokoje ze śniadaniem i kąpielą od £2 tygodniowo lub od s.6/6 dziennie ; także korzystne warunki z całem utrzymaniem. Mieszka się wygodnie i swojsko z wieloma zadowolonymi rodakami. Kierownictwo szwajcarskie.

W poprzednim 6-stronicowym numerze (62) „Wiadomości Polskich" (7 ilustracyj): *Violet Mason,* przełożył *Roman Sas-Kulczycki :* Dzieje Anglji. Z książki napisanej specjalnie dla Polaków w Wielkiej Brytanji. — *Antoni Słonimski :* Nike spod Samotraki. — *Jan Lechoń :* ***. — *Juljan Tuwim :* Kwiaty polskie. Fragmenty opowieści poetyckiej. — *Aleksander Hertz :* Przeciwnicy Roosevelta. Korespondencja własna „Wiadomości Polskich". — *Ksawery Pruszyński :* Księga ponurych niedopowiedzeń. O „Kampanji wrześniowej 1939 w Polsce" gen. Mieczysława Norwida-Neugebauera. We Wrześniu. — *Marja Patkaniowska. Marja Kuncewiczowa :* Monica Gardner. — *Karol Estreicher. Antoni Słonimski :* O rysunkach Feliksa Topolskiego. — *Alfa :* Rozmaitości. — Korespondencja. — List do Ksawerego Pruszyńskiego. — Oczami szarego obywatela. — Minister Stańczyk o kwestji żydowskiej. — Życie P.E.N. Clubów. — Skarbnica Polska. *Stanisław Trembecki :* Oda : balon. *Cyprjan Norwid :* Na zgon ś.p. Jana Gajewskiego. *Marja Konopnicka :* Przed sądem. *Henryk Sienkiewicz :* Z „Wycieczki do Aten". *Bolesław Prus :* Cienie. Fraszki.

Rzeczy polskie w prasie brytyjskiej

Głosy o Polsce w ostatnim czasie pozostawały pod znakiem dwóch wydarzeń : pobytu gen. Sikorskiego w Ameryce i uroczystości trzeciomajowych.

Wyniki podróży naczelnego wodza prasa brytyjska bez wyjątku ocenia dodatnio. Podkreśla się że rząd kanadyjski przyrzekł wszelką pomoc w organizacji wojska oraz że Waszyngton obiecał dostarczyć ekwipunku w ramach „lease and lend bill". „Free Europe" z dn. 2 maja cytuje amerykański magazyn „Time", który podkreślił że w Chicago słuchało gen. Sikorskiego 75 000 osób, a więc przeszło siedem razy więcej niż wynosiło audytorjum Lindbergha w tej twierdzy izolacjonizmu. Słowem, jak podnosi „Daily Sketch" z dn. 29 kwietnia, gen. Sikorski „has done some good work", a podróż jego, jak pisze „Times" z dn. 8 maja, była „highly successful".

Przyjęcie rocznicy aktu prawnego jako święta narodowego niewątpliwie bardzo odpowiada umysłowości anglosaskiej. Toteż uwaga poświęcona naszemu trzeciemu majowi przekracza miarę zwykłej w takich wypadkach uprzejmości, podobnie jak przekracza ją wspaniałe przemówienie radjowe premjera Churchilla. Tekst czy też wyjątki z tego przemówienia, wzmianki o samem święcie i poszczególnych obchodach w stolicy i na prowincji przynosi cała prasa londyńska i kilkadziesiąt pism prowincjonalnych. Niektóre dzienniki ogłaszają dłuższe artykuły ; „Times" z dn. 3 maja daje w stu wierszach skrót nowoczesnej historji Polski, życzliwy i wzorowo objektywny. „Yorkshire Observer" z dn. 6 t.m. odnalazł nawet w Newby Hall pomnik jeźdźca na koniu, który wprawdzie ma wyobrażać Karola II depczącego Cromwella, był jednak wykonany jako pomnik króla Sobieskiego, zwycięzcy Turków ; przypomniano sobie o tem wskutek wzmianek o Sobieskim w czasie ostatnich uroczystości.

Można przy takich sposobnościach mówić o królu Sobieskim, ale kto wie czy nie jest ważniejsze poruszanie nowszej historji. Uczynił to, jak się zdaje bardzo skutecznie, minister Stańczyk, przemawiając z okazji uroczystości pierwszomajowych do górników w czterech miastach hrabstwa Durham („Manchester Evening News" z dn. 3, „Sunday Sun" z dn. 4 maja i in.). Mówił on m. in. o siedmio i półgodzinnym dniu pracy górników polskich, o płatnych urlopach robotniczych i o rozwoju ubezpieczeń społecznych w niepodległej Polsce, co zapewne dla wielkiej części słuchaczy było nowością. Przydałoby się więcej takiej propagandy. Proponuję żeby powiedzieć coś o reformach ministra Poniatowskiego, a może wreszcie skończą się uszczypliwe uwagi o „feudalnem" państwie polskiem. Przynajmniej Anglicy powinni zaprzestać tych uwag". Już w imię „sense of humour".

Będzie to przytem pewnem urozmaiceniem naszej propagandy, która jak dotąd ogranicza się przeważnie do rozpowszechniania wiadomości o prześladowaniach w Kraju. Informacje te, niewątpliwe potrzebne, wydają się jednak w stosunku do całości spraw polskich nieco jednostronne. Co gorsza, czasem robią one wrażenie chaotycznych. Śledząc dość pilnie zarówno biuletyny polskie jak również echo ich w prasie angielskiej, nie wiem np. nawet w przybliżeniu, ile właściwie osób z Polski wywieziono na roboty do Niemiec ; wymienia się na ten temat najróżniejsze, jednak zawsze ostateczne cyfry. Tak samo niewiadomo ile właściwie osób wymordowano w związku ze śmiercią Syma ; trzysta, jak ogłaszano do niedawna, sto trzydzieści, jak ogłasza się teraz, czy też najpierw trzysta a potem sto trzydzieści dodatkowo? Poruszam te sprawy by wskazać na potrzebę pewnej ostrożności. Anglicy przyjmują te informacje z pełną dobrą wiarą, jednak nie bezmyślnie, i wszelkie nieścisłości osłabiają zaufanie do informacji wogóle. W jednym wypadku już się tak stało. Korespondent „Yorkshire Observer" i „Birmingham Gazette" z dn. 30 kwietnia podaje że nienazwane polskie „źródło propagandy" przynosi wiadomości o niezwykle brutalnem traktowaniu jeńców brytyjskich w obozach na terenie Polski. Tymczasem listy nadchodzące od jeńców i często w prasie omawiane dowodzą, że niema specjalnego prześladowania. W związku z tem wspomniane pisma stwierdzają : „Polacy, to dzielni sojusznicy i dobre chłopy, ale w dziedzinie propagandy są oni raczej skłonni pozwalać swemu entuzjazmowi na prześciganie faktów"...

W dyskusjach na tematy niemieckie trzeba zarejestrować kilka rozsądnych głosów. Do nich należy artykuł w kwietniowej „National Review" p.t. „The British Soldiers Are Here", poświęcony krytyce pewnych odłamów propagandy brytyjskiej. Przemówienia radjowe, nadawane przez B.B.C. w języku niemieckim, często przypominają że narody brytyjski i niemiecki nie walczą z sobą, słyszymy jednak — wskazuje „National Review" — że Niemcy rozstrzeliwają i torturują Polaków, zatapiają bez ostrzeżenia okręty handlowe, ostrzeliwają dzieci szkolne i t.p. Komandor King-Hall, świeżo po nalocie na Manchester tłumaczył ludności tego miasta, że prowadzimy krucjatę o duszę narodu niemieckiego. Naród brytyjski — pisze „National Review" — może wytrzymać jeszcze mnóstwo takiego nonsensu i mimo to pozostać zdrowym, trzeba jednak zwrócić uwagę na niebezpieczeństwa takiej propagandy wobec samych Niemców, którzy w tych warunkach nie mają nic do stracenia idąc za Hitlerem, gdyż otrzymują zgóry zapewnienie że w razie niepowodzenia Hitlera nic im się nie stanie. „Jedynym sposobem przemawiania do Niemców jest powiedzenie im, że w naszych oczach zjednoczyli się oni z Hitlerem i że nie przestaniemy ich bombardować dopóki nie zaniechają barbarzyńskiego postępowania i nie opuszczą zajętych krajów". Podobnie „South London Press" z dn. 9 maja pisze, że „trzeba Niemcom powiedzieć iż ich otwarte miasta będą zniszczone... jeżeli nie zaczną obchodzić się po ludzku z Polakami".

Tematy polskie w filmie reprezentują obrazy „A Nation in Exile" z muzyką Bolesława Leitgebera („Manchester Guardian" z dn. 3 maja) oraz „Dangerous Moonlight", którego premjerę zapowiada „Kinematograph Weekly" z dn. 8 t.m. Wartoby chyba wyzyskać dla filmu także niezwykłe przygody i wędrówki wielu Polaków przez zielone granice. Temat ten jest tymczasem przedmiotem dłuższego opowiadania w majowym numerze „Blackwood Magazine".

GUSTAW GAZDA.

STRATTON STREET PICCADILLY, W.1
Phone : MAYFAIR 7807-9
Le Coq d'or Restaurant
MAISON FRANÇAISE
pod osobistem kierownictwem
pp. HENRI SARTORI I E. BERHAUD
Sala restauracyjna, większe i mniejsze sale bankietowe

ROZMAITOŚCI

Ucieczka Hessa jest chyba najwspanialszym kawałem naszej ponurej epoki. Nie zapominając zupełnie o wadze tego wydarzenia, trudno się powstrzymać od refleksyj natury humorystycznej. Jakkolwiek tragiczne może być tło eskapady wice-führera, element ośmieszenia rzuca się poprostu w oczy. Hess zrobił z Hitlera niemałego durnia, ale komunikat nadany przez rozgłośnie hitlerowskie postawił jeszcze kropkę nad *i*. Pomyśleć tylko : hitlerowcy powiedzieli światu, że ich wódz nr. 2 był od kilku lat warjatem.

*

Hitler nie ma szczęścia do przyjaciół osobistych. Nigdy nie było ich wielu, a jego najbliższych powierników spotkał los nie całkiem godny zazdrości. Po rozstrzelaniu Röhma przyszła kolej na Strassera, już po wybuchu wojny Streicher miał niemiłe i wielce tajemnicze przejścia, teraz zaś... Hess. Nawiasem mówiąc, Streicher i Hess, to jedyni hitlerowcy, których nazwiska wymieniono w „Mein Kampf".

*

Marszałek lotnictwa Otto Sperrle, głównodowodzący eskadr „Luftwaffe", które atakują Wielką Brytanję, padł ofiarą nieszczęśliwego wypadku. Zwichnął sobie mianowicie ramię, usiłując wcisnąć swój opasły korpus do kabiny Messerschmitta, który oglądał na lotnisku.

*

Londyński „Daily Herald" podał kilka dni temu sensacyjną wiadomość. Wynikało z niej, że król podejmował Hitlera śniadaniem w Buckingham Palace. Nie trzeba dodawać, że był to błąd drukarski.

*

Najnowszą definicja miljonera : człowiek który pali papierosy swej ulubionej marki i śmierdzi cebulą.

*

Śmierć zabrała jednego z czołowych dziennikarzy francuskich — w Londynie zmarł Ellie Bois, długoletni redaktor paryskiego „Petit Parisien". Wolał on wygnanie od życia w nieokupowanej Francji, gdzie za cenę kompromisu politycznego mógłby uzyskać dobre stanowisko. Bois napisał niedawno książkę o przyczynach upadku Francji.

*

„Lizbona jest miastem skazanem na śmierć. Jej jasne światła są w istocie świecami pogrzebowemi" (znany dziennikarz amerykański Quentin Reynolds).

*

Pamiętacie jak Hitler straszył sprzymierzonych jakąś „tajną bronią". Dotychczas skończyło się na groźbach. Natomiast Anglicy dali Niemcom próbkę swej pomysłowości, rzucając sławne „liście zapalające", które wznieciły w Rzeszy tyle pożarów lasów. Obecnie via Ameryka nadchodzi nieco fantastyczna wiadomość, że samoloty niemieckie rozpylają nad lasami tajemniczy płyn, który... impregnuje je i uodparnia na ogień.

*

Inżynierowie szwajcarscy wypróbowują podobno nowy typ pocisków i bomb, zaopatrzonych w rakiety. Rakiety te nadają pociskowi lub bombie ogromną szybkość, zwiększając w ten sposób celność i siłę niszczącą. Zamiast rakiety międzyplanetarnej, będziemy zatem mieli wkrótce broń obliczoną na szybsze przenoszenie nas w zaświaty.

*

Podczas wizyty w Berlinie Matsuoka zapraszał Hitlera serdecznie do Tokjo.

— Będzie pan mógł zobaczyć Mikada — dodał dla zachęty.

— „Mikado"? — odrzekł Hitler. — Nie, dziękuję, wolałbym „Wesołą wdówkę".

*

Z prasy amerykańskiej dowiadujemy się, że André Maurois prowadzi w Stanach Zjednoczonych propagandę za rządem Vichy. Metamorfoza równie obrzydliwa jak szybka.

*

W przemyśle brytyjskim, który nie jest bezpośrednio związany z wysiłkiem wojennym, następuje obecnie łączenie zakładów tej samej branży celem zwolnienia robotników do ważniejszych działów produkcji. Ministerstwo handlu zaznaczyło, że ten proces nie dotknie prasy. W londyńskich kołach dziennikarskich panuje z tego powodu duże zadowolenie, chociaż niektórzy mówią : „Szkoda, że nie połączono razem tygodników „Nudysta" i „Krawiectwo".

*

Bracia Marx porzucają film. Alfa nie martwi się tem zbytnio, gdyż nigdy nie należał do wielbicieli tej trójki. Pewnej osobistości, wysoko postawionej w „Wiadomościach Polskich", zależy jednak na kilku ciepłych słowach o tych komikach, więc stwierdzam że bracia Marx byli niewątpliwie mistrzami w swoim rodzaju. Publiczność natychmiast podzieliła się na dwa walczące obozy — entuzjastów i wrogów. Typu pośredniego nie było.

Nikt nie prowadził statystyki, pewny jednak jestem, że entuzjaści byli w ogromnej mniejszości.

*

W swej książce o kampanji palestyńskiej gen. Wavell kładzie nacisk na znaczenie szybkości i dodaje: „Szybkość jest, niestety, bardzo kosztowna. Zarówno gdy idzie o pancerniki jak samochody, konie wyścigowe i kobiety, stosunkowo niewielki wzrost szybkości może podwoić cenę".

*

Armja gen. Wavella zdobyła na pustyni libijskiej luksusowy samochód sypialny jednego z dygnitarzy faszystowskich. Samochód ten zaopatrzony był m. in. w łazienkę i inne ubikacje z bieżącą wodą. Okazuje się więc że wysoki standard komfortu nie zawsze prowadzi do zwycięstwa.

*

„Rewolucje narodowo-socjalistyczna i faszystowska pokazują nam, do czego narody są zdolne" (rozgłośnia w Stuttgarcie).

*

Londyński „Times" podał niedawno wiadomość, że wdowa po Leninie ma przybyć z końcem maja do Meksyku i zamieszkać razem z wdową po Trockim.

„Times" cieszy się opinją dziennika nieomylnego, i wiadomo, że redaktor tego pisma woli nie dać żadnej wiadomości, aniżeli zamieścić wiadomość nieprawdziwą. Toteż konsternacja czytelników była niemała, jeśli zważyć, iż ten sam „Times", wraz z całą prasą światową, podał dwa lata temu informację o śmierci wdowy po Leninie.

*

„Zawsze wierzyłem że szczerość jest podstawą dyplomacji" (Matsuoka).

*

Po sobotnim nalocie na Londyn dwie kobieciny sprzątały swoje lekko uszkodzone mieszkanie.

— Wiesz, — powiedziała jedna, — te ostre naloty pozwalają nam przynajmniej zapomnieć o wojnie.

ALFA.

Stanisław Baliński
WIELKA
PODRÓŻ
cena 4/6 (w opr.)
M. I. Kolin, Publishers, 9, New Oxford St., London, W.C.1; 98, King Edward St., Perth

O książce „Przeżyłem oblężenie Warszawy"

Książka Alexandra Poloniusa „I Saw the Siege of Warsaw" („Przeżyłem oblężenie Warszawy"), wydana przez firmę William Hodge, spotkała się z życzliwem przyjęciem prasy angielskiej. „I Saw the Siege of Warsaw" dała okazję prasie angielskiej do wypowiedzenia uwag na temat stanowiska Anglji w dobie bitwy o Warszawę. Przytaczamy wyjątek z recenzji, która pojawiła się na łamach „Times Literary Supplement" z dn. 12 kwietnia 1941 r. :

„Naczelnem uczuciem, którego doznawać musi przeciętny czytelnik angielski, zaznajamiając się z licznemi już opisami i opowiadaniami o pierwszych dniach wojny w Polsce, jest niewątpliwie uczucie wstydu, że nie potrafiliśmy zrobić czegoś więcej dla tych, których obdarzyliśmy gwarancją brytyjską. Oczywiście, Polacy i takby walczyli, nie oglądając się na sprzymierzeńców, ale przykre jest czytać dzisiaj jak to żałośnie ufne nadzieje, związane z wypowiedzeniem przez Anglję wojny (Polacy liczyli, że będziemy bombardowali tak ostro zagłębie Ruhry jak Niemcy bombardowali Polskę), rozwiały się, ustępując miejsca smutnemu rozczarowaniu. Wiemy, że teraz nasze lotnictwo spisuje się znakomicie. Gdybyśmy byli mogli zrobić cośkolwiek we wrześniu 1939 ! Takie uczucia budzi w nas lektura tych przejmujących ale prosto podanych opisów. Upojenie na wstępie wojny, rosnące poczucie, że sytuacja pogarsza się gwałtownie, czekanie na wystąpienie sojuszników, wróg u bram miasta, nieśmiertelne słowa i wezwania prezydenta Starzyńskiego, wymarsz ludności cywilnej z miasta tuż przed jego upadkiem, kapitulacja Warszawy — wszystko to ujęte zostało w tej książce w perspektywie, ale zanotowane na gorąco. Historję tę opowiadano już przedtem, ale podana ona została tak dobrze, że czytelnik raz jeszcze porwany jest jej nurtem i dręczą go wszelkie pytania oraz wątpliwości : a gdyby jednak, a coby było, gdyby?

„Po upadku Warszawy autor wybrał szlak ku wschodowi... Maluje on w książce swojej raz jeszcze obraz ignorancji, nieznajomości świata i dziecinnej psychiki hord rosyjskich, które zalały Polskę, i podkreśla, że są one całkowicie niezdolne do zrozumienia najprostszych rzeczy i faktów cywilizacji zachodniej... Książka ta będzie nieoceniona dla przyszłych historyków wypadków z września r. 1939".

Korespondencja

LIST POLAKA AMERYKAŃSKIEGO

Do redaktora „Wiadomości Polskich"

Pisze 26-letni Amerykanin, w którym czuwa duch polski i bije polskie serce. Choć rodzony w Ameryce, dom rodzinny i polska szkoła elementarna pobudziły we mnie mą polskość. Zdaleka przypatrywałem się i podziwiałem ten kraj ojców mych. Cieszyłem się nim, marzyłem o odwiedzeniu go, poznać jego i jego mieszkańców, jazdą rowerem po nim. Trudno — wojna przeszkodziła, lecz wierzę z niezłomną wiarą w przyszłość.

Ciekawym, czy jacy z czytelników „Wiadomości Polskich" chcieliby prowadzić przyjacielską korespondencję ze mną? Przyjemne byłoby mi poznać przedstawicieli, sierotów tej wymarzonej Polski. Piszcie obszernie o swych osobistych przejściach wojennych.

Pana Redaktora proszę o umieszczenie tego liścika w ramach swego pisma, za co serdecznie dziękuję.

JÓZEF K. MANKA
(914 S. 56th Avenue, Cicero, Illinois, U.S.A.).

MEMORIES OF POLAND
zbiór najpiękniejszych melodyj (teksty polski i angielski) wybór i układ *Zygmunta Stojowskiego*
cena 3/6
M. I. KOLIN (Publishers), LTD.,
9, New Oxford Street, London, W.C.1 i 28, King Edward Street, Perth

Konkurs na pamiętnik żołnierza

Do dn. 1 maja b.r. na konkurs na pamiętnik żołnierza polskiego, ogłoszony w nr. 45 „Wiadomości Polskich", wpłynęły 33 prace o następujących godłach : **Andrzej Krzysztof, Arlen, Basia, Brześć, Dzwola, Duchem gorejcie — Panu służcie, Gwiazda polarna, J. Giebułtowski, Jot, Jula, Les, Libertas, Mak, Marion, Mściciel, Na szlaku jesiennych dni, Na śmietnisku historji, Ostroga, Pamiętnik żołnierza polskiego, Pes, Puszcza jodłowa, Saper O., Semper fidelis, Ster, Syrokomla, Szesnastka, Święty Mikołaj, Ułan, Ułan litewski, Wielkopolanin, Wiktor, Wrzesień, Zośka.**

Opuszczona strofa

W wydrukowanym w nr. 26 „Wiadomości Polskich" wierszu Adama Mickiewicza „Do matki Polki" opuszczona została trzecia poniższa strofa :

Bo choć w pokoju zakwitnie świat cały,
Choć się sprzymierzą rządy, ludy, zdania —
Syn twój wyzwany do boju bez chwały
I do męczeństwa... bez zmartwychpowstania.

Redaktor : ZYGMUNT NOWAKOWSKI
Printed in Great Britain for M. I. Kolin (Publishers), Ltd., by Williams, Lea & Co., Ltd., Clifton House, Worship Street, E.C. 2 ; Published every Wednesday at 36, Great Russell Street, London, W.C.1.

SKARBNICA POLSKA

JAN KASPROWICZ

Z „KSIĘGI UBOGICH“

I

Witajcie, kochane góry,
O, witaj, droga ma rzeko !
I oto znów jestem z wami,
A byłem tak daleko !

Dzielili mnie od was ludzie,
Wrzaskliwy rozgwar miasta,
I owa śmieszna cierpliwość,
Co z wyrzeczenia wyrasta.

Oddalne to są przestrzenie,
Pustkowia, bezpłodne głusze,
Przerywa je tylko tęsknota,
Co ku wam pędzi duszę.

I ona mnie wreszcie przygnała,
Że widzę was oko w oko,
Że słyszę, jak szumisz, ty wodo,
Szeroko i głęboko.

Tak ! Chodzę i patrzę i słucham —
O jakżeż tu miło ! jak miło ! —
I śledzę, czy coś się tu może
Od kiedyś nie zmieniło ?

Nic, jeno w chacie przydrożnej
Zmarł mój przyjaciel leciwy,
I uschły dwie wierzby nad rowem,
Strażniczki wiosennej niwy.

A zato świeżem się liściem
Pokryły nasze jesiony,
I jaskry się złocą w trawie
Zielonej, niepokoszonej.

A zato płyną od pola
Twórcze podmuchy wieczności,
Co śmierć na życia przetwarza
I ścieżki myśli mych prości.

Witajcie, kochane góry,
O, witaj, droga ma rzeko !
I oto znów jestem z wami,
A byłem tak daleko !

X

O, wielcy i syci tej ziemi !
Cóż z wami łączyć mnie może,
Choć głodno spać się nie kładę,
Choć, miast barłogu, mam łoże ?

Choć biała na mnie koszula,
Z tych samych lnów uprzędzona,
I choć jednakie nam sukno
Pokrywa nasze ramiona ?

Choć nieraz przy wspólnym stole
Z jednakich jemy talerzy,
Nad czystym schyleni obrusem,
Co dziesięć łokci mierzy ?

Choć z szklenic o złotym brzegu,
Rżniętych w kosztownym krysztale,
Jednakie pijący wino,
Z wami je razem chwalę ?

Cóż może mnie skuwać z wami,
Jakie ogniwa i sploty,
Choć wspólne snać mamy grzechy,
I wspólne, jeśli są, cnoty ?

Choć, z jarzma dziś wyprzęgnięty,
W rozsypiającem tem lecie
Bezczynnie się włóczę po drogach,
Tak samo jak wy to umiecie ?

Choć mógłbym z niejednym z waszych
Słuchać dziś szeptów tej głuszy,
Bo i wy przecież także
Wrażliwe miewacie uszy —

I z was zamyśleńcy powstali,
Patrzący na świat nieobłudnie,
Co jakżeż głęboko umieli
Sondę zapuszczać w studnię !

Jakież mnie wiążą z wami
Łączniki, węzły i spójnie,
Choć jedno z błękitów słońce
Spogląda na nas tak czujnie ?

Chociaż ten grom, co w tej chwili
Zabójczym zahuczał głosem,
Mógłby tu mnie razem z wami
Jednym powalić ciosem ?

Choć śmierć ma, tak samo jak wasza,
Licha być może i podła —
Z uwiądu, co musiał zejść z drogi,
Która ku chwale wiodła ?. . .

Te na samotnych przechadzkach
Zadaję sobie pytania,
Pragnący posiąść tę miłość,
Co się ku wszystkim skłania.

Lecz czuję, choć pęd swych zastrzeżeń
Trzymam usilnie na wodzy,
Że sercu mojemu najbliżsi
Maluczcy i przeubodzy —

Że wszystko co tylko jest w duszy
Z najszlachetniejszej przędzy,
Ludzkiemu oddaję cierpieniu,
Ludzkiej poświęcam nędzy.

XI

Przestałem się wadzić z Bogiem —
Serdeczne to były zwady :
Zrodziła je ludzka niedola,
Na którą niema już rady.

Tliło w mej piersi żarzewie,
Materjał skier tak bogaty,
Że jeno dąć w palenisko,
A płomień ogarnie światy.

Wiedziały o tem potęgi,
Co gdzieś po norach drzemią,
Albo z bezczelną jawnością
Jak mgły się włóczą nad ziemią.

Wiedziały-ci o tem moce,
Które złośliwość popędza,
By szły powiększać nędzę
Tam gdzie największa jest nędza.

Wiedziały-ci o tem zastępy,
Które czyhają zza węgła,
Lub w okna patrzą z szyderstwem,
Czy zbrodnia się nie wylęgła ?

Wiedziały, że jeno się zbliżyć
Ku popiołowi mej kuźni,
A serce odrazu wybuchnie,
Zuchwale zaklnie, zabluźni.

Że swym bluźnierstwom i klątwom
Czynu wyciśnie znamię,
Płonące żądzą odmiany,
Przewrotu, co berło Mu złamie.

I dzisiaj nie żal mi tego,
Najmniejszej nie czuję skruchy,
Bom-ci nie żaden służalec,
Na własne serce głuchy.

Bo w sporze o szczęście świata
Swawolność mi była daleka,
A tylkom korzystał z prawa
Wojującego człowieka.

Jeno że dzisiaj to widzę,
W patrzeniu dosyć już biegły,
Czego w zamęcie walki
Źrenice me nie dostrzegły.

Nie ruszał-ci On naprzeciw
W rynsztunku wspaniałym dziwie,
A tylko na tronie Swym siedząc,
Uśmiechał się pobłażliwie...

I dziś ja sam uśmiechnięty,
Gdy krzyczą : „W żelazo się okuj !“,
Jak ongi miecz niosłem walczącym,
Tak dzisiaj niosę im spokój.

Lecz już nie wadząc się z Bogiem,
Mam jeszcze cichą nadzieję,
Że na dnie mego spokoju
Żar świętej wojny tleje.

XVI

Przynoszę ci kilka pieśni
Na nutę niewyszukaną,
W górach je naszych zebrałem,
Przy stawach, pod skalną ścianą.

Przy stawach, pod skalną ścianą,
Na tej spadzistej przełęczy,
Gdzie śnieg się jeszcze w tej porze
Błagalnie ku niebu wdzięczy.

Błagalnie się wdzięczy ku słońcu
Ta bryła srebra szczera,
A ono z promiennym uśmiechem
Zwolna jej serce pożera.

Pożera zwolna jej serce
I potem zadowolone,
Podąża w swój pałac zachodu
W tryumfu się ubrać koronę.

W koronę tryumfu się stroi,
A ona, ta śniegu bryła,
Pociesza się w samotności,
Że jeszcze snać będzie żyła.

Że jeszcze snać będzie żyła,
Że wróci ku niej krąg słońca
I że, promieniejący,
Pochłaniać ją będzie do końca.

Pochłaniać ją będzie do końca,
Aż się wypełnią jej dzieje,
Aż wszystka spragniona miłości,
W uściskach jego stopnieje.

W uściskach jego stopnieje,
Nic po niej nie pozostanie,
Znaczyć li będą jej miejsce
Wieczyste, kamienne granie.

Wieczyste, kamienne granie,
Czarne, błyszczące skały,
Co same się w żarach słonecznych
Posępnie rozmiłowały.

XVII

Przynoszę ci kilka pieśni,
Umiłowanie ty moje —
W góry poszedłem po nie,
Między siklawy, nad zdroje.

Między siklawy, nad zdroje,
Na turni strome urwiska,
Gdzie w otchłań omglonych żlebów
Ścieżka się wije śliska.

Ścieżka się wije śliska,
Stacza się rzuca, opada,
Strachy się tłumią po niej,
Śmierć chodzi po niej rada.

Śmierć chodzi po niej rada,
Lecz cóż mi dziś myśleć o śmierci ?
Widnokrąg życia ja widzę
Z tej niebezpiecznej perci.

Z tej niebezpiecznej perci,
Co tak się pręży i kurczy,
Znak bezpieczeństwa dostrzegam,
Wybawiający, twórczy.

Wybawiający, twórczy,
A bliski, że jeno go dostać
Ustami, twój obraz mi zalśnił,
Twoja codzienna postać.

Twoja codzienna postać,
Tak jak widuję ją w domu,
Rozradowała me serce,
U żlebu, u tego złomu.

U żlebu, u tego złomu,
U skały, co grom ją rozkrusza,
Czy wiatry ścierają chciwe,
Poczęła śpiewać ma dusza.

Poczęła śpiewać ma dusza,
A w tejże chwili z nią razem
Potężniał mi pogłos wieczności,
Zawisły nad wodą, nad głazem.

Zawisły nad wodą, nad głazem,
Stugędźbny chorał promieni
Zdwojoną rozlał się mocą
Po widnokrężnej przestrzeni.

Po widnokrężnej przestrzeni
Blask słońca zagrzmiał jaskrawy,
Huki mu zdwojonemi
Grzmiące wtórzyły siklawy.

Grzmiące podwójnie siklawy,
Potoków zdwojone rzesze
Wtórzyły pieśni mej duszy,
Mojego serca uciesze.

Mojego serca uciesze
Snać wtórowała i ścieżka,
Po której śmierć chodzi rada,
Na której strach chętnie mieszka.

XVIII

Przynoszę ci kilka pieśni,
W cichym je składam pokłonie —
Proste i szare, jak głazy :
W góry poszedłem po nie.

W góry poszedłem po nie,
Gdzie wichry gubią się w niebie,
Jak serce ulatujące,
Kiedy przeczuwa ciebie.

Kiedy przeczuwa ciebie,
Ogarnia twojego ducha,
Co, zapatrzony w przyszłość,
Tajemnych głosów jej słucha.

Tajemnych głosów jej słucha,
Na wielkiej, upartej wysłudze
Tego, co może dla świata
Jest niepojęte i cudze.

Jest niepojęte i cudze,
Albowiem nie każdy w tym tłumie
Ma szczęścia swojego świadomość,
Nie każdy los swój rozumie.

Nie każdy los swój rozumie,
Z prawem wieczności zżyty,
Jak ta błękitów kopuła,
Która osłania szczyty.

Szczyty strzeliste osłania,
W świetlne zasnuwa je dymy,
Że nie są głaźnemi już zwały,
Lecz niby duchy-olbrzymy.

Tak, niby duchy-olbrzymy,
Które głębokie swe oczy,
Pełne wnętrznego życia,
W jeziornej topią przezroczy.

W jeziornej topią przezroczy,
W stawów głębinie tęczowej,
Za skalne ująwszy się ręce,
W zadumie schyliwszy głowy.

W zadumie schyliwszy głowy,
Snać marzę kamienne te stadła,
By ludzie, świadomi swej doli,
Co na nich, jak przymus, padła.

Jak przymus padła-ci na nich
I nieugięta, wciąż każe
W głąb mieć zwrócone oczy,
W oddal zwrócone twarze.

Twarze zwrócone w oddal,
Leżącą za kresem, ziemi,
Gdzie duchy, jak gór tych olbrzymy,
Zbrojami lśnią stalowemi...

XIX

Przynoszę ci kilka pieśni,
Z gór ci je naszych przynoszę,
Gdzie szczęścia żądny wędrowiec
Szczęsne znajduje rozkosze.

Szczęsne znajduje rozkosze,
Kiedy wczesnego rana
Zobaczy, jak cicho się błyszczy
Jeziora tafla lustrzana.

Jeziora tafla lustrzana,
Zielona, bez ruchu leży,
Ujęta w wieniec granitów,
W krąg pawiobarwnych obrzeży.

Śród pawiobarwnych obrzeży,
Skąd sen snać nieprędko ulata,
Widać że zbudzić się nie chce
To cudo rannego świata.

Śni cudo rannego świata —
A nad niem równe mu cuda,
Turnie wartują potężne,
Wielkolud we wielkoluda.

Wielkolud we wielkoluda,
Gdzieś przed wiekami stworzeni,
Nie mogą się nadziwować
Rozbłąkitnionej zieleni.

Rozbłękitnionej zieleni
I ja się nadziwić nie mogę :
Przystaję i patrzę w jej ciszę,
W przeznaczeń idący drogę.

W przeznaczeń idący drogę —
Kto mi jej koniec wywróży ? —
Jużbym też dzisiaj nie pragnął
Żadnego gromu ni burzy.

Żadnego gromu ni burzy,
Żadnego sił roztargania,
Jeno spokoju, jak spokój,
Co się z tej głębi wyłania.

Z głębi się jasnej wyłania —
Głaźne-ć ma ono podłoże,
Nie zielska, nie chwasty namulne,
Lecz niebo promienne, Boże.

Niebosa promienne, Boże,
Góry śniegami poryte
Rzucają blask swój i kształt swój
W tę zwierciadlaną płytę.

W tę zwierciadlaną płytę
Rzuciwszy czar swej postaci,
Wychodzą z kąpieli spokoju
Promienniej, pełniej, bogaciej.

Promienniej ! pełniej ! bogaciej !
Okrzyki przedziwnej treści !
Znasz je i wiesz, jaka pewność
W błękitnym spokoju się mieści.

W błękitnym spokoju się mieści
Widzenie rozkosznej oddali,
Gdzie cel mej wędrówki dzisiejszej
W skrach nieśmiertelnych się pali.

W skrach nieśmiertelnych się pali
Szczytu chwalebny diadem —
Idę ja dzisiaj ku niemu,
Ty moim podążasz śladem.

Ty moim podążasz śladem.
A z tobą ten spokój głęboki,
Co jasność daje mym oczom
I w pewność uzbraja kroki.

O, w pewność zbrojne wy kroki !
O, duszo, jak toń zwierciadlana,
Którą w okolu granitów
W błękitne-m widywał rana...

XX

Przynoszę ci kilka pieśni —
Podarek może-ć i miły :
Kolebka ich w głazie ciosana,
W górach się one zrodziły.

W górach się one zrodziły,
Tam, gdzie dwie limby pod strażą
Odwiecznych, kamiennych złomisk
Tulą się k'sobie i marzą.

Tulą się k'sobie i marzą,
Na skalnej zawisłe krawędzi,
Do stóp się im potok słania,
Co z wierchów słonecznych pędzi.

Z wierchów słonecznych on pędzi
Z przejmującemi rozgwary —
Słuchają go chciwe kosówki,
Las się wsłuchuje stary.

Las się wsłuchuje stary,
Podszywający granie —
Jakby na wieki oniemiał,
Tak go przemogło słuchanie.

Tak go przemogło słuchanie,
Lecz wnet się otrząśnie z milczenia :
Wichry się skądziś ruszyły,
Las się w organy przemienia.

Las się w organy przemienia,
Pochwałę burzy śpiewa,
Co z łyskiem i gromem wypadła
I zmiata stuletnie drzewa.

Stuletnie druzgoce drzewa,
Bloki granitów strąca,
Siklawy z łożysk wyrzuca,
Łkająca, tryumfująca.

Łkająca, tryumfująca,
Za chwilę traci już siebie,
Ze strachu do want się przyciska,
W przepastnym przepada żlebie.

W przepastnym przepada żlebie,
A z wnętrza przycichłej doliny
Wyrasta znów wał granitowy,
Z mgły się wychyla sinej.

Z mgły rzedniejącej, sinej,
Co resztą już kłębów swych dymi,
Oczyszcza się łańcuch szczytów,
Niespodziewany, olbrzymi.

Niespodziewany, olbrzymi,
Wieczności błękitne widziadło,
Stoi, jak wprzódy, bez ruchu,
Choć tyle nań gromów padło.

Tyle nań gromów już padło,
A tu, na zboczy, pod strażą
Sczerniałych złomisk dwie limby
Tulą się k'sobie i marzą.

Tulą się k'sobie i marzą,
Na skalnej zawisłe krawędzi,
Wsłuchane w rozgwar potoku,
Co z wierchów słonecznych pędzi.

Z wierchów słonecznych pędzi,
Od gromów, co oniemiały :
Słuchają go limby i marzą,
Do wiecznej się tuląc skały...

XXVI

A może w straszliwej zawiei,
Co świat ten naokół niszczy,
Nie same li gruzy wyrosną,
Nie same li kupy zgliszczy ?

Może w zapasach olbrzymów
Zło się nareszcie przełamie
I Bóg już na jego miejscu
W ludzkim zamieszka chramie ?

Może to chwila przebudzeń,
Gdzie, wstydząc się swojej gnuśności
Zbyt długiej, uczuje człowiek,
Iże stalowe ma kości ?

Miast kajdanami podzwaniać
I rzewnie olzawiać się bolem,
Być może, zbawcze gdzieś wyjście
Okiem wyśledzi sokolem ?

Nie ! szukać-ci go nie będzie,
W chytre rachunki bogaty,
Lecz piersi wypręży i ręce,
Więzienne roztrzaska kraty.

Pod pięścią jego, silniejszą
Od najtwardszego młota,
Rozprzęgną się rygle i zamki,
Żelazne rozprysną wrota.

Oby ta wielka godzina,
Co taką nadzieję nieci,
Stała się dziś już naprawdę
Przepołowieniem stuleci !

Oby wbrew wszelkim pojęciom
Dowodów przyniosła nam rada,
Że oto z dwojakiej wieczności
Jedna się wieczność składa.

Że po wieczności, co legła
Przy dzwonie tego zegara,
Nikt w czarnej nie chodzi sukni,
Nikt po niej się płakać nie stara.

Że zasię nowa się wieczność
Z krwawej poczyna rzeki,
By dziękczynnego „Te Deum“
Słuchać po wieków wieki...

Niech otwierają się rany,
Niech krew się leje dowoli,
Byleby wieczność ta wzrosła
Z tak umierzwionej roli.

Na bohaterskim niech stosie
Najlepsze konają serca,
Skoro podpali go wiara,
Że wieczność ta nie uśmierca.

Że choćby wszystkoby stlało,
To jeszcze z jakiegoś ukrycia
Zaczną się sypać iskry
Na bohaterski stos życia.

Napewne, napewne, napewne —
Niechże ta pewność mnie krzepi !
Czas idzie, gdzie głusi usłyszą
I w którym już przejrzą ślepi.

Czas idzie nieprzewidziany,
A może przewidzian wielce
Przez dusze, co światów bezmiary
W miernej dowidzą kropelce.

XL

Pali się świat naokoło,
Niechże goreje, niech płonie,
Byleby tylko nam serce
Nie spopieliło się w łonie.

Byleby tylko te dymy,
Co z ziemi się kłębią umarłej,
Mózgu nam nie przyćmiły
I oczu nam nie wyżarły.

Byle ten huk i ten łomot,
Wątek straszliwej powieści,
Nie odjął nam władzy słyszenia,
Co za tą grozą się mieści.

Byleby tylko ratunek,
Z którym do ognia nas pędzą,
W kaleki nas nie przemienił,
Napiętnowane nędzą.

Albowiem walą się mury
Zwęglone pękają wiązadła,
Niejedna już na nas cegła,
Niejedna belka upadła.

I w tym zamęcie, w tych trzaskach,
W skrach, co nad nami rozbłysły,
Wydaje się nieraz, gubimy
Najpierwotniejsze zmysły.

Dar przyrodzony, przed wieki
Zawyrokowan w niebie,
Że człowiek, szukając skarbu,
Ma przed się szukać siebie.

Że świat, posiadłszy dla duszy
Umiłowane przestrzenie,
Gdzie łączą się dusz miljony,
Winien utrzymać to mienie.

A my, tak nieraz się zdaje,
Znamy dziś jedno li prawo :
Niszcząca gotowość wyrzeczeń
W sercu rysuje się krwawo.

Świadkowie, jak tłumy obłędne,
Żar rozdmuchują lub gaszą,
Prawie tracimy świadomość
Co w tem chudobą jest naszą.

Wtłoczeni w ciżbę krzyczącą,
Ledwie szepcemy nieśmiało,
Błagając, by chociaż cokolwiek
Z dobytku nam ocalało.

Choćby najwęższy opłotek,
Izdebka chociażby jedna,
Byleby miała gdzie spocząć
Zmęczona głowa biedna.

Byleby miała gdzie wyznać
Przy ostatecznej spowiedzi,
Jaki w niej bezład i jaka
Rozpacz w jej wnętrzu siedzi.

Snać wyżerają nam oczy
Czarne, kłębiące się dymy,
A któż to ma patrzeć z radością
Na nowe gmachy-olbrzymy ?

Snać mózg się nam mąci w głowie,
A któż ma obmyślać plany,
Rozmierzać i liczyć, by dom nasz
Trwale był zbudowany ?

Widać, że słuch nasz przygasa,
A któż to ma prawo słuchania
Tryumfalnego hejnału,
Co już z oddali podzwania ?

Snać się nam serce spopiela —
Oby w sto słońc rozbłysnęło,
Bo któż ma ukochać po wieki
Swe własne, wieczyste dzieło ?

Pali się świat... Niechże ginie
W tej strasznej skier zawierusze,
Byleby wyszły z niej cało
Nasze stęsknione dusze.

XLI

Rzadko na moich wargach —
Niech dziś to warga ma wyzna —
Jawi się krwią przepojony,
Najdroższy wyraz : Ojczyzna.

Widziałem, jak się na rynkach
Gromadzą kupczykowie,
Licytujący się wzajem,
Kto Ją nagłośniej wypowie.

Widziałem, jak między ludźmi
Ten się urządza najtaniej,
Jak poklask zdobywa i rentę,
Kto krzyczy, iż żyje dla Niej.

Widziałem, jak do Jej kolan —
Wstręt dotąd serce me czuje —
Z pokłonem się cisną i radą
Najpospolitsi szuje.

Widziałem rozliczne tłumy
Z pustą, leniwą duszą,
Jak dźwiękiem orkiestry świątecznej
Resztki sumienia głuszą.

Sztandary i proporczyki,
Przemowy i procesyje,
Oto jest treść Majestatu,
Który w niewielu żyje :

Więc się nie dziwcie — ktoś może
Choć milczkiem słuszność mi przyzna —
Że na mych wargach tak rzadko
Jawi się wyraz : Ojczyzna.

Lecz brat mój najbliższy i siostra,
W tak czarnych żałobach ninie,
Ci wiedzą, że chowam tę świętość
W najgłębszej serca głębinie.

Ta siostra najbliższa i brat ten,
Wybrani spomiędzy rzeszy,
Ci znają drogi, któremi
Moja Wybrana śpieszy.

Krwawnikiem zarosłe ich brzegi,
Łopianem i podbiałami :
Śpieszę z Nią razem, topole
Ślą swe westchnienia za nami.

Przystajem na cichych mogiłach,
Słuchamy, azali z ich wnętrza
Jakiś się głos nie odezwie,
Jakaś nadzieja najświętsza.

Zboża się złocą dojrzałe,
A tam już widzimy żniwiarzy,
Ta dłoń swą na czoło mi kładzie
I razem o sprzętach marzy.

A potem, podniósłszy głowę,
Do dalszej wstając podróży,
Woła : „Miej radość w duszy,
Bo tylko radość nie nuży.

Podporą ci będzie i brzaskiem
Ta ziemia, tak bujna, tak żyzna,
Nią-ci Ja jestem, na zawsze,
Twa ukochana Ojczyzna“.

Jakiś złośliwy złoczyńca,
Pszeniczne podpala stogi,
U bram się wije niebieskich
W rozpaczy człowiek ubogi.

Jakaś mordercza zaraza
Z głodem zawiera przymierze,
Na przepełnionych cmentarzach
Krzyże się wznoszą świeże.

Jakoweś głuche tenteny
Wskroś przeszywają powietrze,
Kłębią się gęste chmurzyska,
Czyjaż to ręka je zetrze ?

Jakaś olbrzymia rzeka
Wezbrała krwią i rozlewa
W krąg purpurowe swe nurty,
Zabiera domy i drzewa.

Jakoweś idą pomruki —
Drży niepoznana puszcza,
Dęby się groźnie ozwały,
Cóż to za moc je poduszcza ?

A nad tą dolą - niedolą
Poranna nieci się zorza,
Na pieśń mą, Ojczyzny pełną,
Spływa promienność Boża.

W mej pieśni, bogatej czy biednej —
Przyzna mi ktoś lub nie przyzna —
Żyje, tak rzadka na wargach,
Moja najdroższa Ojczyzna.

JAN KASPROWICZ.